

John Gifford Bellett

CHWAŁA PANA JEZUSA CHRYSTUSA

John Gifford Bellett

CHWAŁA PANA JEZUSA CHRYSTUSA



Beröa

John Gifford Bellett

**CHWAŁA
PANA JEZUSA
CHRYSTUSA**

Tytuł oryginału angielskiego:
The Moral Glory of the Lord Jesus Christ.

Wydawca oryginału:
W. H. Broom, Paternoster Row. London 1865

© Copyright for Polish Edition by Beröa-Verlag, 8038 Zürich, 2013

Tłumaczenie i korekta językowa: zespół

Skład komputerowy i diapozytywy:
Grażyna Kołbasa

Projekt okładki, druk i oprawa:
Wydawnictwo Arka, www.arkadruk.pl

Pierwsze wydanie polskie

ISBN: 978-83-85930-27-3
EAN: 9788385930273

Wydawnictwo: Beröa-Verlag, 8038 Zürich

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
On wiedział, co to znaczy ograniczyć się, jak też żyć w obfitości	6
Jego dystans wobec ludzi połączony równocześnie z niepojętym, wychodzącym ku nim ciepłem i bliskością oraz Jego świętość i łaska uwidaczniające się w relacjach z otaczającymi Go osobami	16
Zwycięzca, Mąż Boleści i dobroczyńca	24
On nigdy nie musiał przeproszać ani się usprawiedliwiać	34
On wyznaczał czas przechowywania i czas odrzućcia	40
Nic niemający, a jednak wszystko posiadający	50
Jego słowa zawsze łaskawe, zaprawione solą – Jezus wczoraj i dziś, ten sam i na wieki	61
Wciąż ten sam po swoim zmartwychwstaniu	73
Niezrozumiany, ale przyciągający innych do siebie	93
Jego służba w odniesieniu do Boga, stosunek wobec szatana oraz ludzi	100
Epilog – doskonałość Syna Bożego	111
O autorze słów kilka - John Gifford Bellett	125

WSTĘP

To właśnie chwała naszego Pana Jezusa Chrystusa lub, innymi słowy, Jego doskonały, nienaganny charakter, objawiający się pośród różnych okoliczności codziennego życia, jest tematem, któremu pragnę poświęcić tych kilka stron. Wszystko w Nim było dla Boga nieustannie ofiarą o miłej wonności. Wszelki przejaw tego, kim rzeczywiście był, bez względu na to, w jakim stopniu zauważalny przez otoczenie oraz zupełnie niezależnie od sytuacji, w jakiej się znalazł, był dla Boga zawsze niczym najwonnejsze kadzidło. To właśnie w Jego Osobie, wyłącznie w Nim, człowiek został połączony z Bogiem. W Nim Bóg na nowo znalazł swoje upodobanie w człowieku – całkowite zadowolenie niewypowiedziane większe niż kiedykolwiek wcześniej, ponieważ w Panu Jezusie człowiek znaczy dla Boga o wiele więcej, niż kiedykolwiek mógłby znaczyć nawet w wiecznie nienaruszonym stanie niewinności Adama.

W rozważaniach, które masz przed sobą, a które traktują o wspaniałości moralnej Pana Jezusa, zawarta jest z pewnością tylko nikła część tego cudownego tematu. Być może jednak owo niedoskonałe przecież

dzieło będzie dla niejednego czytelnika bodźcem, aby pomyślał o Panu Jezusie – a już i to będzie dla niego błogosławieństwem, które pogłębi poznanie i społeczność z Nim lub też doprowadzi do znalezienia w Nim wiecznego zbawienia, pokoju duszy i życia.

W tych krótkich rozmyślaniach podjąłem się rozważenia *Osoby* Pana – Boga i człowieka w jednym, w Chrystusie. Poruszyłem również temat *całokształtu dokonanego przez Niego na ziemi dzieła* – służby przesączonej goryczą cierpienia oraz przelania krwi na krzyżu, przez co dopełnione zostało dzieło pojednania, będące dzisiaj gruntem, na którym wielu wierzących posiada żywą relację z Bogiem i niezachwianą radość.

On wiedział, co to znaczy ograniczyć się, jak też żyć w obfitości.

Jeżeli ktoś chce złożyć Panu ofiarę z pokarmów, to niechaj ofiarą jego będzie przednia mąka; niechaj poleje ją oliwą i nałoży na nią kadzidła. Potem przyniesie ją do synów Aarona, kapłanów. Kapłan weźmie z tego pełną swoją garść mąki z oliwą, wraz z całym jej kadzidłem i spali ją na ołtarzu jako pamiątkę, jako ofiarę ogniową, woń przyjemną dla Pana (3. Księga Mojżeszowa 2,1-2, BW).

Chwała Pana Jezusa może być rozpatrywana z trzech różnych punktów widzenia. Tak więc mamy do czynienia z **osobistą** chwałą Pana, którą zasadniczo ukrywał przed ludźmi. Wyjątek stanowiły takie sytuacje, w których czyjś bystry wzrok wiary potrafił ją odkryć lub gdy oko-

liczności wymagały okazania Jego wielkości¹. Podobnie ukrywał On przed ludźmi również swoją chwałę *opartą na zajmowanym przezeń stanowisku* – najwyższym urzędzie, jaki piastował². Przemierzając tę ziemię, nie korzystał z przynależnych Mu praw: ani jako Syn Boży, który jest w łonie Ojca, ani też z racji autorytetu, jaki przysługiwał Mu jako synowi Dawida. Te dwie strony Jego chwały były zazwyczaj zasłonięte przed wzrokiem człowieka, który miał sposobność przyglądania się Mu, gdy tak szedł dzień w dzień przez rozmaite okoliczności codziennego życia. Jednakże Jego *wspaniałość moralna* nie mogła pozostać ukrytą. Pan Jezus nie mógł w żadnej sprawie okazać się mniej znakomitym niż doskonałym – zawierało się to wprost w Jego istocie, takim był On sam. Jego moralna doskonałość – przewyższająca wszelkie ludzkie wyobrażenia wysmienitość – nie mogła pozostać niezauważone przez ludzi, którzy byli wystawieni na jej oddziaływanie – promieniejąc, raziła w oczy, obnażając i osądzając w swym świetle każdego człowieka. Emanowała doskonałym Bożym światłem bez względu na to, czy człowiek potrafił ją znieść, czy też nie. Tak, jak niegdyś oświetlała każdą ścieżkę, po której stąpał Pan, tak jeszcze i dzisiaj rzuca jasne, klarowne światło na każdą stronicę czterech Ewangelii.

¹ W tym kontekście możemy mówić o Jego Bóstwie; por. Ew. Mat. 8,10 (osobiste poznanie Go jako Boga) oraz Ew. Marka 4,35-41 (przyp. tłum.).

² tzn. chwałę należną Mu z racji danego Mu od Boga stanowiska (przyp. tłum.).

Ktoś wyraził się niegdyś o Panu w ten sposób: *Jego człowieczeństwo było doskonale naturalne w swym rozwoju*. Wypowiedź ta jest bardzo trafna i piękna razem. Słowa z Ewangelii Łukasza 2,52 są jej cudownym potwierdzeniem. W Jego rozwoju nie było nic, co stwarzałoby wrażenie jakiegokolwiek nienaturalności czy odchylenia od normy. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Jego mądrość dotrzymywała kroku zewnętrznej posturze i wiekowi. Najpierw był dzieckiem, później stał się mężczyzną. Jako mężczyzna (jako mąż Boży w tym świecie) świadczył, że świat i jego uczynki są złe, przez co też został przez świat znienawidzony, lecz jako dziecko (dziecko według Bożego serca, jeśli można użyć takich słów) był uległy rodzicom i podlegał zakonowi – i to jako jedyny, który był doskonały. W takich warunkach dorastał – przybywało Mu *łaski³ u Boga i u ludzi*.

Chociaż Pan Jezus rósł naturalnym, ludzkim wzrostem, czyniąc normalne, zdrowe postępy, to jednak nigdy nie było w Jego życiu czegokolwiek, co rzucałoby cień na Jego doskonałość – jakiegoś uchybienia, przekory czy błędu. Właśnie to odróżniało go od wszystkich innych ludzi. o Marii, Jego matce, wydane zostało to chlubne świadectwo, że wszystkie wypowiedzi Pana lub te pochodzące z ust postronnych, a dotyczące Jego Osoby, zachowywała w swoim sercu. Niemniej jednak pewien cień, mrok, a nawet ciemność pojawiły się w jej duszy, skoro Pan musiał do niej powiedzieć: *Czemu*

³ dosł. przychylności; por. Dz. Ap. 2,47 (przyp. tłum.)

mnie szukaliście? Czyż nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę? (Ew. Łuk. 2,49). Widać wyraźnie, że nie posiadała tutaj duchowego zrozumienia dla Jego słów (zob. w. 50).

Lecz co się tyczy Pana, Jego rozwój jako człowieka był prawidłowy i zarazem piękny – Jego dorastanie (przed rozpoczęciem oficjalnej służby) było stosowne do swego czasu oraz porządku i można dodać, że tak, jak Jego człowieczeństwo było zupełnie naturalne w swym rozwoju, tak też i Jego charakter we wszelkich sytuacjach był całkowicie ludzki, przepelniony autentyzmem. Wszystko w Nim, co ujawniało ten charakter, było jedyne w swoim rodzaju, jednocześnie zupełnie doskonałe w kwestii człowieczeństwa.

On był *drzewem zasadzonym nad strumieniami wód, wydającym swój owoc we właściwym czasie* (Ps. 1,3), a jak wiemy, wszystkie rzeczy są piękne tylko w swoim, właściwym czasie. Moralna nieskazitelność Jezusa jako dziecka jaśniała promiennym blaskiem w swoim czasie i miejscu, a gdy stał się mężczyzną, ta sama wspaniałość otrzymała inny, odpowiedni do wieku wyraz. On wiedział, kiedy uczynić zadość wymaganiom matki, gdy coś od Niego chciała, kiedy się im przeciwstawić, chociaż je posiadała, a kiedy zauważyć jej życzenia i potrzeby, chociaż wcale o nich nie mówiła i nie dążyła do ich spełnienia (Ew. Łuk. 2,51; 8,21; Ew. Jana 19,27). Gdy podążymy dalej Jego śladami, zauważymy ponownie tę samą prawdę przejawiającą się na każdym kroku Jego ziemskiej wędrówki. Głęboko przeżywał to, czym było Getsemane – we właściwym momencie i zgodnie z cha-

rakterem tego miejsca. Przeżywał także to, czym była Góra Przemienienia – w stosownym czasie dla tego wydarzenia; były to chwile radości i smutku dla Jego duszy. Znał dobrze studnię w Sychar i drogę, która po raz ostatni wiodła Go do Jerozolimy. Przechodził każdy etap i odcinek drogi swojego życia zgodnie z tym, czego wymagał Bóg. Tak było też w sytuacjach, które kosztowały Go wiele siły i energii. Gdy w grę wchodził profanowany przez bezbożników dom Jego Ojca, dawał się ponieść świętej gorliwości, która trawiła Go w Boskim gniewie. Wypełniło się na Nim słowo psalmisty: „*Bo gorliwość o dom twój pożera mnie*” (Ps. 69,10). Gdy chodziło jednak o kwestię Jego osobistej krzywdy, znośił cierpienie ze strony mieszkańców samarytańskiej wioski i w cichości kontynuował swą służbę.

Wszystko było w Nim doskonale i dostosowane do każdej okoliczności, sytuacji czy czasu. Płakał przy grobie Łazarza, chociaż wiedział, że niesie zmarłemu życie. Ten, który dopiero co rzekł: „*Jam jest zmartwychwstanie i żywot*”, zapłakał rzewnie. Boska moc, którą posiadał, w niczym nie była przeszkodą ku temu, aby w pełni okazały się Jego ludzkie uczucia i współczucie.

Właśnie owo doskonałe połączenie tych cech i cnót stanowi o Jego wspaniałości moralnej. Pan dobrze wiedział – posłużyć się w tym miejscu słowami apostoła Pawła – co to znaczy, aby *umieć się ograniczyć* (dosł. *uniżyć*), *umieć też żyć w obfitości* (Fil. 4,12). Wiedział, jak wykorzystać chwile powodzenia, jeżeli tak możemy je nazwać, i potrafił znosić chwile najgłębszego ucisku. Idąc przez życie, doświadczał obu tych stanów.

Tak więc np. zaznał na krótką chwilę wszelkiej należytej Mu czci i chwały. Na świętej Górze Przemienienia oglądamy Go w Jego majestacie i godności, otoczonego najwyższą czcią. Niczym słońce będące źródłem światła jaśniało wówczas Jego oblicze niewypowiedzianym blaskiem, a u Jego boku znajdowali się tak znakomici mężowie jak Mojżesz i Eliasz, dzieląc wspólnie z Nim Jego wspaniałość, promieniejąc wespół z Nim Jego wspaniałość, promieniejąc wespół z Nim. Ale gdy Pan schodził z góry, przykazał tym, którzy byli *naocznymi świadkami Jego majestatu*, aby *nikomu nie mówili o tym widzeniu*. I gdy zstąpił z góry, a zdumieni ludzie wybiegli Mu na spotkanie, aby Go przywitać (Ew. Marka 9,15), Jego twarz bez wątpienia odbijała jeszcze nieco z blasku chwały, w której przed momentem się znajdował. Jednak Pan nie zstąpił do ludu, aby odebrać od niego cześć. Natychmiast zajął się swoją powszednią służbą, gdyż wiedział, co znaczy *żyć w obfitości*, nie wynosząc się z tego powodu w żadnej mierze nad innych. Nie szukał szczytnego miejsca wśród ludzi, lecz wyparł się samego siebie i stał się niczym. W sytuacji, którą rozważamy, natychmiast zakrył swoją chwałę, osłaniając ją szczelnym, nieprzejrzanym welonem, aby znów stać się sługą, któremu co prawda od zawsze należała się ta chwała, ale w Jego pokornej służbie nie była widoczną na zewnątrz.

Podobnie było w innej sytuacji – tuż po Jego zmartwychwstaniu, jak to czytamy w Ewangelii Jana 20. Przyglądając się nieco uważniej tej wzniosłej scenie, widzimy Pana znajdującego się wśród uczniów w tak chwalebnym charakterze, jakiego człowiek jeszcze ni-

gdy nie posiadał i nie widział. Stoi pośrodku nich jako Ten, który zwyciężył śmierć i unicestwił pęta grobu. Pomimo swej bezspornej wielkości nie przyszedł w to miejsce, aby odebrać zaszczyty i gratulacje od swych uczniów, tak, jakby to z pewnością miało miejsce w przypadku zwykłego człowieka, który po długich trudach i niebezpieczeństwach powraca zwycięsko do grona przyjaciół i krewnych po to, aby przyjąć wyrazy uznania. Nie oznacza to wcale, że był On obojętny na wyrazy współczucia ze strony innych, wręcz przeciwnie – potrzebował ich i odczuwał ich ewidentny brak, gdy Mu ich odmawiano. Tutaj jednak, wzbudzony z martwych, stoi pośrodku swych uczniów niczym chwilowy tylko gość, nie zaś triumfujący zwycięzca. Zauważmy, że rozmawia z nimi o tym, co dotyczy ich samych, uświadamia im błogosławieństwa, które od tej pory będą ich stałym udziałem, zamiast mówić o sobie, który tego wszystkiego dokonał i wywalczył dla nich w śmiertelnym boju. Ta postawa to rzeczywiście uczynienie właściwego użytku ze zwycięstwa – jak niegdyś Abraham, gdy pokonał sprzymierzonych królów – trudniejsza do osiągnięcia rzecz niż wywalczenie samego zwycięstwa. Znowu znajdujemy tu potwierdzenie, że Pan Jezus wiedział, jak „żyć w obfitości”, jak wykorzystać pełnię.

Lecz Pan Jezus wiedział również, co znaczy „*umieć się ograniczyć*” (lub *być uniżonym*). Przyjrzyjmy się Mu w otoczeniu pogardzających Nim mieszkańców samarytańskiej wioski (Ew. Łuk. 9,51-56). Już na wstępie tego fragmentu Duch Święty relacjonuje nam, że zbliżały się

dni, kiedy Pan miał zostać wzięty do swojej chwały. We w pełni prawnym poczuciu swej osobistej chwały (chwały jako Boga) oczekuje płomiennie tego momentu i postępuje tak, jak było to w zwyczaju u osób posiadających szczególną godność – wysyła przed sobą posłańców, aby zapowiedzieli Jego rychłe nadejście. Niewiara Samarytan odmienia całkowicie tę scenę. Ludzie ci nie chcą Go przyjąć. Odmawiają utworzenia drogi stopom Pana chwały, zmuszając Go, aby już jako ten *odrzucony* sam znalazł dla siebie najlepszą drogę. On przyjmuje natychmiast wyznaczone Mu miejsce bez słowa skargi na swych ustach i bez jakiegokolwiek sprzeciwu czy przejawu goryczy w swym sercu. Jako odrzucony Betelemczyk (nawiązując do słów z Ew. Mat. 2) staje się na powrót wzgardzonym Nazarejczykiem i po drugiej stronie wioski spełnia tę rolę tak doskonale, jak spełnił poprzednią, zbliżając się do tego miejsca zaledwie krótki czas temu.

Tak unizonego Pana znajdziemy także w Ewangelii Mateusza 21. Do Jerozolimy wjeżdża jako Syn Dawida. Wszystko, co tylko miało potwierdzać tę Jego godność, otaczało Go wtedy i towarzyszyło Jego Osobie. I tak, jak na Górze Przemienienia ukazał się w swojej niebiańskiej chwale, tak teraz jawi się w swojej ziemskiej, królewskiej wspaniałości. Nie zawładnął nią bezprawnie, nie podnosił niesłusznych roszczeń – ona była zawsze Jego prawowitą własnością i gdy sytuacja tego wymagała, potrafił ją godnie zaprezentować. Jednak niewiara Jerozolimy, podobnie jak poprzednio Samarii, zmienia scenerię i Ten, który wkroczył do miasta jako król, zmu-

szony jest opuścić je, aby sam znaleźć sobie miejsce na nocleg. Wiedząc, co to znaczy „*być unizonym*”, znalazł się poza bramami Jerozolimy, tak jak uprzednio poza granicami samarytańskiej wsi.

Jakaż doskonałość! Gdy otaczająca go ciemność nie przejawiała choćby cienia zrozumienia i poznania Jego osobistej chwały oraz chwały, która należała Mu się z racji danego Mu przez Boga stanowiska, to Jego chwala moralna świeciła tym jaśniej. Nie ma bowiem nic wspanialszego w ludzkim charakterze niż połączenie dobrowolnego unizenia się ze świadomością posiadania chwały przed Bogiem. Prawda ta w cudowny sposób znajduje odzwierciedlenie w życiu niektórych świętych. *Abraham* przez całe życie był obcym przychodniem wśród Kananejczyków, nie mając na własność ani cząstki ziemi i nie dążąc do tego, aby ją osiąść. Jednak gdy nadarzyła się stosowna okazja, to będąc przekonany o swej godności w oczach Bożych i rozumiejąc Jego wolę, umiał zachować się właściwie wobec króla Sodomii. *Jakub* mówił o swoim pielgrzymowaniu, o czasie swego życia, że był „*krótki i zły*”, czyniąc się poprzez to niczym w oczach świata. Ten sam mąż, będąc świadomym faktu, że on sam był w oczach Bożych tym „*lepszym*”, tym większym (por. Hebr. 7,7), błogosławił faraona, który w ówczesnym czasie był najpotężniejszym z władców na tej na ziemi. *Dawid* nie wstydził się prosić o bochenek chleba. Ten mąż, który potrafił upokorzyć się tak głęboko, jednocześnie przyjmuje w darze i osobie Abigail hołd należny jedynie królowi, odbierającemu trybut od swych poddanych. *Paweł*, skuty łańcuchami,

więzień w domu namiestnika, mówił śmiało o swych więzach, nie ukrywając faktu braku fizycznej, cywilnej wolności, w tym samym czasie dając całemu sądowi i otaczającym go wysoką rangą rzymskim urzędnikom do zrozumienia, że uważał siebie samego za błogosławionego, jedyne go błogosławionego pośród nich.

Takie zestawienie dobrowolnego uniżenia się przed ludźmi w poczuciu chwały przed Bogiem zostało zaminiestrowane w najwyższy, najjaskrawiej uwiadczniający się (jeśli weźmiemy pod uwagę, kim On był), nieskończenie niedościgły sposób w naszym Panu. W kontekście uprzednio wspomnianego już aspektu o umiejętności zarówno uniżenia się, jak i życia w obfitości, bycia nasyconym przy jednoczesnej zdolności do cierpienia głodu, nasuwa mi się jeszcze inna, równie cenna myśl. Odsłania ona nam cudowną prawdę o tym, że serce człowieka, który zna te rzeczy, który doświadczył ich osobiście i namacalnie w swym życiu, zajęte jest raczej końcem podróży niż samą wędrówką. Gdy nasze serce pochłonięte jest myślami o wyprawie, szybko skłonne jest, aby zauważać jej mozół, trudy podróży oraz uciążliwe, niewygodne, wyboiste czy wiodące pod górę odcinki drogi. Gdy spogląda jednak tylko na cel, nie zważa na te niedogodności. Czyż nie dostrzegamy w tym wspaniałym pouczeniu ukrytego napomnienia skierowanego do nas, tak często zajętych tymi właśnie przeciwnościami?

Jego dystans wobec ludzi połączony
równocześnie z niepojętym, wychodzącym
ku nim ciepłem i bliskością oraz Jego świętość
i łaska uwidaczniające się w relacjach
z otaczającymi Go osobami

Są jeszcze inne cechy charakteru Pana, na które musimy koniecznie zwrócić uwagę. Z całą pewnością nie było nigdy człowieka tak łaskawego i tak przystępnego, otwartego jak On. Choć widzimy w Nim łagodność, wręcz troskliwą czułość i przychylność, jakich nie spotkaliśmy nigdy u żadnego innego człowieka, to ciągle odczuwamy, że na tej ziemi był bezsprzecznie „obcym”. Jakże głęboka prawda kryje się w tym stwierdzeniu! Był obcym tutaj – obcym wobec człowieka panoszącego się w budzącym weń odrazę charakterze buntownika wobec Boga; potrafił jednocześnie wykazywać tkliwą i zażyłą bliskość wobec wszystkich, gdy tylko czyjeś cierpienie lub głęboka potrzeba tego wymagały. Ten *dystans*, który zachowywał, kiedy było to konieczne, a zarazem ta *tkliwa zażyłość*, którą przejawiał i z którą zbliżał się do ludzi, były doskonałe i niezrównane. Pan Jezus nie przechodził biernie do porządku dziennego, patrząc na otaczającą Go nędzę człowieka, lecz otwierał się na nią i wkraczał w tę smutną, budzącą litość i rozdzierającą serce scenerię z takim współczuciem, jakie mogło mieć źródło tylko w Nim samym. Ten sam Pan nie tylko odrzucał wszechobecną nieczystość, w jakiej pograżył się grzeszny człowiek, lecz zachowywał również święty dystans względem wszelkiego

rodzaju zła, w jakiegokolwiek formie nie dawałoby ono o sobie znać.

Rozważmy teraz te cechy Pana w oparciu o szósty rozdział Ewangelii Marka. Jest to wzruszająca scena. Uczniowie powracają do Pana Jezusa po trudnym i pracowitym dniu. On troskliwie wychodzi im naprzeciw. Natychmiast spostrzega ich zmęczenie i okazuje doskonałe zrozumienie dla ich znużenia, zwracając się do nich w słowach: *Wy sami idźcie na osobność, na miejsce ustronne i odpocznijcie nieco* (w. 31). Widząc podążającą za Nim tłum, zwraca się do niego z tą samą gotowością usłużenia i z tą samą bezgraniczną, tkliwą miłością. Rozpoznawszy w okamgnieniu prawdziwą kondycję, w jakiej się znajdowali idący za nim ludzie – że byli jak owce niemające pasterza – począł ich nauczać. W tym wszystkim widzimy wyczulony wzrok Pana Jezusa na wciąż pojawiające się wokół Niego rozmaite potrzeby – czy to chodziło o zmęczenie uczniów, czy też o konieczność zaspokojenia głodu i głębokiej duchowej niewiedzy ludu. On troszczył się o jedno i drugie. Jednakże uczniowie, oburzeni nadmierną ich zdaniem uwagą, jaką poświęcał rzeszom ludu, namawiają Go, aby je odprawił. To jednak nie wchodzi u Niego w rachubę. W tym momencie powstaje swego rodzaju konflikt interesów skutkujący pewnym poczuciem obcości pomiędzy Panem a uczniami, która wyraża się chwilę później w poleceniu Pana skierowanym do dwunastu, aby wsiedli do łodzi i przeprawili się na drugą stronę, podczas gdy On odprawi lud. To duchowe, a później i fizyczne oddalenie uczniów od Pana Jezusa nie może

przynieść im nic dobrego. Kłopoty zaczynają się dopiero mnożyć. Wiatr i fale, siły natury są im przeciwne. Gdy jednak utrapienie uczniów i grożące im niebezpieczeństwo osiągną szczyt, natychmiast ponownie zjawia się u ich boku, aby ich ochronić, udzielić pomocy i dodać otuchy.

Jakaż cudowna, godna podziwu harmonia wyraża się w owym połączeniu świętości i łaski! Pan Jezus jest blisko przy nas w ogarniającym nas zmęczeniu, poczuciu bezsilności, głodu, wpośród zagrażających nam niebezpieczeństw, trzyma się zaś jednoznacznie z dala od wszelkich przejawów naszej starej natury i wypływającego z niej egoizmu. Jego świętość przyczyniła się do Jego całkowitego wyobcowania w tym skażonym świecie, zaś Jego łaska znajdowała dla Niego coraz to nowe zadania, czyniąc go niestrudzenie aktywnym na tym padole łez – w świecie pełnym cierpień i potrzeb. I właśnie dzięki temu widzimy w szczególnym świetle wspaniałość moralną charakteryzującą nieskazitelne i nienaganne życie naszego Zbawiciela. Chociaż stan otoczenia sprawiał, że musiał być samotny i wyobcowany, to z drugiej strony wszechobecna wokół Niego nędza i udręka nie pozwalały mu spocząć ani na chwilę, sprawiając, że był nieustannie działającym sługą. Ponieważ zaś Jego służba była adresowana do ludzi różnego pokroju, musiała przybierać różnorodne formy. Chrystus miał do czynienia z zagorzałymi przeciwnikami, z ludem, z gronem podążających za Nim uczniów oraz z pojedynczymi osobami, które napotykał na każdym kroku swej ziemskiej wędrówki. Ta gęsta sieć

nieustannych kontaktów decydowała nie tylko o Jego niestrudzonej, trwającej nieprzerwanie służbie, ale i o różnorodności sprawowanych przez Niego posług i wykonywanych zadań. Musiał wiedzieć (i z pewnością wiedział doskonale), w jaki sposób odpowiadać każdemu. Ponadto widzimy Go także wcale nierzadko zasiadającego przy niejednej okazji u stołu z różnymi ludźmi. Sceny te mają na celu odsłonić nam jeszcze więcej z Jego niedościgłej, przejawiającej się wszędzie autentycznej doskonałości. Tak więc, przebywając okazjonalnie w gościnie u faryzeuszy, nie wpisuje się w rodzinną atmosferę i nie zachowuje tym samym jak swój, lecz jako osoba publiczna, powszechnie znana. Będąc zaproszonym w charakterze Nauczyciela, jaki posiadał w wykonywanym do tej pory działaniu, zachowuje go i udaje się do domostw faryzeuszy, aby działać właśnie w Jego mocy i autorytecie. Nie znajduje się tam jako zwyczajny gość, obsypywany wyrazami uprzejmości i gościnności gospodarza i właśnie dlatego może przypominać oraz nauczać. Wciąż jest światłością i postępuje jako owa bezkompromisowa Boża światłość, demaskując tym samym panującą tam ciemność i poprzez to rozświecła mrok zalegający we wnętrzu każdego domu, jak czynił to na zewnątrz, wykonując swoją publiczną służbę (por. np. Ew. Łuk. 7,40; 11,37).

Choć Pan Jezus wielokrotnie przekraczał raz po raz progi domów faryzeuszy jako **Nauczyciel**, przebywając wśród nich w tym właśnie charakterze i nie wzbraniając się ganić otwarcie ich zepsutego moralnego stanu, to do domostw celników wchodził jako **Zbawiciel**. Lewi wy-

prawił dla Niego wielkie przyjęcie w swym domu, zapraszając grzeszników i celników do wspólnego stołu. Incydent ten spotkał się, rzecz jasna, z gorącą opozycją ze strony krytycznie nastawionych uczonych w Piśmie – religijnych przywódców ludu. Wówczas to Pan Jezus jawi się jako Zbawiciel, mówiąc im: *Nie potrzebują zdrowi lekarza, lecz ci, co się źle mają. Idźcie i nauczcie się, co to znaczy: Miłosierdzia chcę, a nie ofiary. Nie przyszedłem bowiem wzywać (wł. do pokuty) sprawiedliwych, lecz grzeszników* (Ew. Mat. 9,13). Bardzo proste słowa, lecz jakże trafne, przenikliwe i penetrujące głębię serc! Faryzeusz Szymon czuł się zgorszony, że grzesznica weszła do jego domu i przystąpiła do Pana Jezusa, podczas gdy Lewi, celnik, sam zaprosił podobnych do niej, aby byli wspólnie gośćmi otaczającymi Pana Jezusa. W zależności od zaistniałej sytuacji, w domu pierwszego Pan występuje w roli napominającego, zaś w gościnie u drugiego jawi się jako pełen łaski Lekarz i Zbawiciel.

Widzimy Go również przy innych stołach. Możemy spotkać Go w Jerychu i w Emaus (por. Ew. Łuk. 19 i 24). W każdym z tych przypadków to głębokie wewnętrzne pragnienie podejmujących Pana stanowiło o tym, że znalazł się u nich w gościnie. Pragnienie to zakiełkowało jednak w sercach w różnoraki sposób, tzn. pod wpływem odmiennych motywów. Zacheusz to jawnie upadły grzesznik, uzewnętrzniający w każdym calu grzeszną naturę człowieka, która, jak wiemy, jest do głębi zepsuta, zarówno w zamysłach, jak i w działaniach. Jednak w tej właśnie chwili, gdy Jezus przechodzi przez Jerycho, Zacheusz znajduje się w polu działania

przyciągającej siły Ojca i dlatego zupełnie jakby nagle Pan staje się bliskim jego sercu przedmiotem rozważań jego duszy. Człowiek ten odczuwa w konsekwencji nieodparte pragnienie ujrzenia Pana Jezusa i kierowany tym gorącym życzeniem, toruje sobie drogę przez napierający tłum, wspinając się na sykomorę, aby, jeśli to tylko możliwe, zobaczyć Go, gdy będzie przechodził. On zaś, znalazłszy się w bezpośredniej bliskości kryjówki Zacheusza, podnosi swój wzrok ku górze, dostrzega go i natychmiast zapowiada wizytę w jego własnym domu. Jest to godne uwagi – Jezus nie został tutaj zaproszony, On się niejako wprosił do domu celnika z Jerycha!

Pierwsze oznaki duchowego życia i rozbudzone przez pociągnięcie Ojca pragnienia u tego nędznego grzesznika sprawiają, że jest on natychmiast gotów podjąć Pana w swoim domu. Sam Pan Jezus z sercem przepełnionym uczuciem i oczekiwaniem momentu przyjęcia, przekracza próg jego domu, czyniąc to w charakterze, który odpowiada na wszelkie najskrytsze potrzeby tego człowieka. Wchodzi pod jego dach, aby rozniecić i wzmocnić to świeżo wzbudzone życie, aż wytryśnie w końcu w postaci kosztownych cnót, już na samym początku wydając swój dobry owoc: *Panie, oto połowę majątku mojego daję ubogim, a jeśli na kim co wymusiłem, jestem gotów oddać* (dosł. *oddam*) *w czwórnasób* (Ew. Łuk. 19,8). Jakaż poruszająca scena!

W Emaus przed naszymi oczyma roztacza się bardzo podobna scena, choć rozgrywająca się w odmiennych warunkach. Nie znajdujemy tu pragnienia duszy dopiero co pociągniętej do Pana osoby, lecz płomienne

życzenie odrodzonych wierzących, aby mieć społeczność z Panem. Jawiący się nam tutaj uczniowie wracają do domu w wielkiej udręce wynikającej z fałszywego przekonania, że Jezus zawiódł⁴. Przyłączywszy się do nich, Pan nie waha się zganić ich niewiary. Swoje słowa układa w sposób, który ma rozpalic płomień w ich sercach (Ew. Łuk. 24,32). Gdy ich wspólna droga nagle się kończy u bramy prowadzącej do mieszkania uczniów, Pan zachowuje się tak, jakby zamierzał iść dalej. Nie myśli wprosić się do nich w gościnę, jak to uczynił w Jerychu. Uczniowie nie znajdują się w moralnie upadłym stanie, w jakim pogrążony był Zacheusz, a który zadecydował wówczas o śmiałości Pana Jezusa. Gdy Go jednak zaproszono, wchodzi – aby rozniecić jeszcze płomienniej to pragnienie, które stało się bezpośrednią przyczyną Jego zaproszenia i – aby je w pełni zaspokoić. Tak też się dzieje: ogarniająca serca uczniów bezgraniczna radość każe im natychmiast, bez względu na późną porę i długą drogę, powrócić do miasta, aby przekazać radosną nowinę braciom.

Czy zauważamy, jak różnorodnym, niepowtarzalnym pięknem przepełnione są wszystkie te wydarzenia? Gość w domu faryzeusza, w domu celnika, gość uczniów – zaproszony czy niezaproszony Jezus zajmuje zawsze należne Mu miejsce we wszelkiej doskonałości i wspaniałości. Mógłbym podać inne przykłady Jezusa u stołu, lecz ograniczę się jeszcze do tylko jedne-

⁴ tzn., że sprawa Jezusa i związanych z Nim nadziei dobiegła końca (czyt. Ew. Łuk. 24,19-21 ; przyp. tłum.)

go. Widzimy Go w Betanii, w rodzinnej atmosferze. Gdyby Pan Jezus odrzucał instytucję chrześcijańskiej rodziny, nie znalazłby się w Betanii. A jednak był On bezsprzecznie niezwykłym gościem w tym domu. Przeglądając się Jego wizytom składanym trójce rodzeństwa, odkrywamy jeszcze jedną, nową cechę Jego wspaniałego charakteru – w Betanii jest przyjacielem rodziny, znajdującym w ich kręgu to, co jeszcze i dzisiaj tak bardzo cenimy – ognisko domowe. Słowa: *A Jezus miłował Martę i jej siostrę i Łazarza* (Ew. Jana 11,5) wystarczająco to podkreślają. Jego miłość do nich nie była miłością Zbawiciela lub Pasterza, choć wiemy, że był dla nich i jednym, i drugim. Była to miłość przyjaciela rodziny. Jako przyjaciel, i to zażyły, który w każdej porze mógł tam wstąpić i znaleźć wśród nich serdeczne przyjęcie, Pan nie mieszał się w utarte sprawy domowe. Marta była gospodynią, najbardziej zajętą osobą w rodzinie, użyteczną i pełniącą ważną funkcję. Tak więc Jezus pozostawia ją na miejscu, na którym ją zastaje. Nie do Niego należy zmienianie lub ustalanie panującego wśród nich porządku. Niech Łazarz siedzi z gośćmi przy rodzinnym stole, Maria zaś niech wycofa się, aby przebywać w swym własnym królestwie lub, wyrażając to lepiej, w Królestwie Bożym wewnątrz niej samej. Również i Marcie pozwala krzątać się i posługiwać. Jezus nie ingeruje w ten układ, pozostawiając wszystko dokładnie tak, jak zastał. Ten, który nie wszedłby do czyjegoś domu niechciany, przebywając teraz u tych dwóch siostr i ich brata, nie zamierza wcale mieszać się w ich porządek i umowy. Jakież pełne taktu i moralnego

piękna postępowanie! Lecz gdy tylko jeden z członków rodziny wychodzi poza należne mu miejsce w domowym zakresie, występując w roli nauczyciela i pozwalając sobie na pouczające uwagi w Jego obecności, Pan natychmiast rozpoznaje nieodzowność powrotu do należnego Mu wzniesłego stanowiska, miejsca wyższości Jego Osoby (które poniekąd odsunął na moment, przyjmując charakter przyjaciela tej rodziny). Ten, który nie wtrąca się w sprawy natury domowej, reaguje tu jednak natychmiast, występując z autorytetem i ustawiając na swoim miejscu te wykraczające poza sferę spraw gospodarstwa domowego rzeczy w doskonałym Boskim porządku (Ew. Łuk. 10,38-42).

Zwycięzca, Mąż Boleści i dobroczyńca

Któż z nas mógłby dogłębnie prześledzić wszystkie drogi Pana? Ptaki przemierzające przestworza niebios, bystrym wzrokiem wypatrujące żeru i uważnie obserwujące rozgrywające się w dole sceny, musiałyby jednogłośnie przyznać, że nawet ich sokole oczy nie byłyby w stanie sprostać temu zadaniu. Żaden człowiek nie jest zdolny, by w pełni zgłębić Jego Osobę. Jakiż ludzki charakter, jakkolwiek nie byłby znakomity, mógłby równać się z charakterem i doskonałością naszego Pana? Ta doskonałość świeci swym blaskiem, odsuwając w cień każdą znakomitość wśród ludzkich osobistości. Żaden z nas na pewno nie myśli o apostołe Janie, Piotrze czy którymkolwiek z uczniów jako o człowieku bez serca, wyzutym ze zdrowych uczuć. Wręcz przeciwnie, nie-

jeden z nas gotów byłby powierzyć im balast swych trosk i problemów. A jednak ten zacytowany przeze mnie uprzednio fragment z Ewangelii Marka 6 pokazuje nam, że każdy z nich pogrążony był w głębokim błędzie, że w duchowym sensie uczniowie byli oddaleni od Pana i reprezentowali zupełnie odmienne myślenie niż On. Rzeszę głodnego ludu potraktowali niczym intruza, grożącemu im zakłóceniem ich błógiego spokoju i odebraniem uprzywilejowanej pozycji u boku Pana. W tym samym czasie Pan Jezus wychodzi jednak im naprzeciw i daje odczuć swoją bliskość. Każdy jeden szczegół rozważanych przez nas wydarzeń składa niezbitę świadectwo o wspaniałości naszego Pana. Ktoś powiedział niegdyś:

Nie znam nikogo, kto byłby tak dobry i tak skłaniający się do człowieka jak On, kto zniżyłby się tak do biednego grzesznika. Jego miłości ufam bardziej niż miłości Jego matki czy jakiegokolwiek świętego. To nie tylko Jego Boska moc i wielkość mnie przyciągają; przemawia do mnie czułość Jego serca jako człowieka. Nikt nigdy nie okazał, nie posiadał ani nie udowodnił równej delikatności, nikt też nie wzbudził we mnie takiego zaufania. Niech inni zwracają się do rzeszy świętych lub nawet do aniołów, jeśli tego koniecznie chcą – ja jednak ufam dobroci Pana Jezusa.

Człowiek, który wypowiedział te słowa, z pewnością miał wiele ku temu powodów. Spójrzmy jeszcze raz na tę ujmującą scenę z Ewangelii Marka 6. Mówi ona sama za siebie. Zdradza zawstydzającą bezdusność najzaczniejszych wśród nas, jak Piotr i Jan, z drugiej strony

obwieszczając ową niepojętą, niestrudzoną, zbawczą łaskę Pana Jezusa.

Przejdźmy jednak dalej: w Panu Jezusie znajdujemy nie tylko doskonale zestawienia cech charakteru, ale także połączenia cnót i różnorodnych przejawów łaski. Jego stosunek wobec tego świata, jaki reprezentował w swej ziemskiej wędrówce, wyraźnie to ujawnia. Był jednocześnie zwycięzcą, Mężem Bolesci, jak i dobroczyńcą. Jakaż moralna wspaniałość tchnie z takiego połączenia! Zwyciężył świat, odrzucając jego czar, uroki i ponętne oferty. Odebrał od niego bolesne razy i rany, cierpiąc głęboko za wiernie składane świadectwo dla Boga przeciwko duchowi tego świata i zepsutym zasadom, którymi się rządzi. Z drugiej strony, niezależnie od tego, wylewał nań obficie swoje błogosławieństwo, okazując miłość i moc – odpłacając dobrem za zło. Pokusy tego świata służyły tylko ku temu, aby ukazać Go jako zwycięzcę nad nimi; jego zepsucie i wrogość czyniły z Niego cierpiącego Męża Bolesci, zaś wszechobecne w nim bieda i nędza objawiały Go jako dobroczyńcę. Cóż za doskonale zestawienie wielu wspaniałych cnót!

Pan Jezus odzwierciedlał swoim postępowaniem te znane słowa: *w tym świecie, lecz nie z tego świata*. Przypuszczam, że pochodzą one z Jego modlitwy w Ewangelii Jana 17,15-16: *Nie proszę, abys ich wziął ze świata, lecz abys ich zachował od złego. Nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata*. Będąc w tym świecie, przez cały czas reprezentował tę postawę i działał pośród biedy oraz ciemności tego świata, nigdy jednak nie będąc z tego świata jako ktoś, kto podziela jego nadzieje

i plany, jest przesycony lub zachłyśnięty jego duchem. Myślę, że szczególnie Ewangelia Jana 7 odsłania nam Go w tym charakterze.

Przenieśmy się na chwilę w tamten klimat. Jest czas Święta Namiotów, czyli ten koronny czas radości w Izraelu, przedsmak Tysiącletniego Królestwa, okres zakończenia żniwa, w którym lud izraelski miał w szczególny sposób rozpamiętywać wędrówkę po pustyni i fakt, że mieszkał niegdyś w namiotach. I to w tym właśnie czasie rodzeni bracia Pana Jezusa przystępują do Niego, nalegając, aby nie stracił takiej okazji i udał się do Jerozolimy, gdzie, można powiedzieć, cały żydowski świat akurat był obecny. Zachęcają Go, aby zaprezentował się przed ludźmi, ujawnił swą moc w czynieniu cudów i wykorzystał niepowtarzalną szansę zdobycia uznania w oczach ludzi. Mówią do Niego: *Skoro takie rzeczy czynisz, daj się poznać światu* (w. 4). Pan Jezus wyraźnie wzbrania się i nie idzie za ich podszeptami. Dla Niego czas obchodzenia tego święta jeszcze nie nadszedł. Nastanie on dopiero, gdy w mocy i w olśniewającej chwale obejmie swoje Królestwo – wtedy każde oko ujrzy Jego potęgę i wielkość, zaś Jego panowanie sięgać będzie aż po krańce ziemi. Teraz jednak Jego droga wiedzie do ołtarza (na krzyż), a nie do tronu. Nie chce iść na to święto, aby być jego uczestnikiem, nawet znajdując się w bezpośredniej bliskości religijnego centrum, w którym je obchodzono. Dlatego widzimy, że choć dociera do miasta w czasie trwania tego święta, nie przyjmuje zaszczytów, lecz zajmuje swe zwykłe miejsce w służbie – nie jako czyniący niezwykle znaki i cuda w celu

zwrócenia na siebie uwagi ludzi, czego oczekiwali od Niego i do czego nakłaniali Go Jego bracia, lecz jako udzielający pouczeń innym, niejako kryjący się za słowami: *Nauka moja nie jest moją, lecz tego, który mnie posłał* (w. 16).

Ta szczególna postawa jest dla Niego bardzo charakterystyczna. Dostrzegamy w niej jednak tylko niektóre cechy bijącej promiennym światłem chwały doskonałego Pana spośród tych, które oglądamy w odniesieniu do tego świata. Chodząc w tym świecie, nosił charakter Zwycięzcy, Męża Boleści i dobroczyńcy, ale nie był z *tego* świata. Kiedy stykał się z czymś nieszczęściem, to zauważamy zaraz tę godną podziwu wrażliwość połączoną z mocą uzdrawiania. W odniesieniu do uczniów widzimy tę samą wrażliwość w połączeniu z pragnieniem pokrzepienia ich. Z kolei trędowaty, o którym czytamy w Ewangelii Mateusza 8, był cudzoziemcem. Przyszedł jednak ze swoim cierpieniem do Pana Jezusa i został natychmiast uzdrowiony. W tym samym rozdziale widzimy także będących w opresji, znękanych uczniów, którzy podczas sztormu zwracają się do Niego ze swymi obawami. I co się dzieje? – Wraz z pomocą otrzymują także napomnienie. Pan gani ich pytaniem: *Czemu jesteście bojaźliwi, małowierni?* A przecież wiara trędowatego nie unosiła się w żaden sposób ponad wiarę uczniów. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem – trędowaty nie został napomniany. Uczniowie zwrócili się do Niego ze słowami: *Panie, ratuj, ginimy*, natomiast trędowaty rzekł: *Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić*. Jednak Pan posiadał wy-

raźne powody ku temu, aby postąpić dokładnie tak, jak to uczynił i nie inaczej. Co więcej, Jego zachowanie było jak zwykle nacechowane nigdy niegasnącą, nieblaknącą doskonałością. Dla Pana Jezusa były to dwie zupełnie różne sytuacje. W pierwszym przypadku chodziło tylko o *cierpienie*, w drugim oprócz *udręki* w grę wchodziła również i *dusza*. Adekwatnie do tej prawdy Pan Jezus wychodzi naprzeciw trędowatego z czystą czułością bez choćby jednej kropli jakiegokolwiek domieszki, podczas gdy czułość w stosunku do uczniów powiązana jest z idącą z nią w parze wiernością (przejawiającą się w tym przypadku udzieleniem im reprimendy). W tych obu sytuacjach to różnorodność relacji, w jakiej znajdowały się te osoby wobec Pana, wyjaśnia nam odmienny sposób Jego postępowania. Pokazuje to nam również, z jaką dokładnością i perfekcją odróżniał Pan rzeczy i okoliczności, które choć bliźniaczo do siebie podobne, nie były jednak takie same.

Przyjrzyjmy się jeszcze bliżej tej doskonałości Pana Jezusa. Chociaż sam musiał tu i ówdzie sprostować czyjeś postępowanie i wystąpić w roli napominającego, to jednak nie przyzwalał na to, aby inni czynili to zbyt pochopnie lub lekkomyślnie. Tę zasadę Bożego działania dostrzegamy już w Starym Testamencie. Chociaż sam Bóg upokorzył swego sługę Mojżesza, to jednak nie mógł przypatrywać się w milczeniu Miriam i Aaronowi czyniącym mu gorzkie zarzuty (4. Mojż. 11-12). Choć Izrael podczas wędrówki przez pustynię często był karcony przez Boga, to jednak w obecności Bileama i innych wrogów Bóg zawsze występował w obronie

swego ludu jako Ten, który nie widział w nim żadnej niesprawiedliwości (4. Mojż. 23,21) i nie mógł pozwolić, aby bezkarnie obsypywano go złorzeczeniami. Równie godną podziwu jest postawa Pana Jezusa wobec swoich uczniów, jaką wykazał się w momencie, gdy dziesięciu z nich szemrało przeciwko dwóm pozostałym (Ew. Mat. 20). Podobnie było w przypadku Jana Chrzciciela, do którego skierował słowo napomnienia (słowo, które tylko sumienie Jana mogło właściwie zrozumieć) – gdy mówił o nim do ludu, czynił to wyłącznie w słowach najwyższego uznania.

Istnieje wiele podobnych przykładów przesyconego łaską postępowania Pana Jezusa, poprzez które rozróżniał On te tak diametralnie inne sytuacje. Nawet jeśli chodzi o Jego obchodzenie się z uczniami, znamy taki moment, kiedy zwykle przejawiający się w działaniu Pana Jezusa wobec dwunastu aspekt wierności⁵ został pominięty, dając więcej miejsca już samej tylko tkliwej miłości – głębokiej czułości wpływającej obfitym strumieniem z Jego serca. Mam na myśli godzinę Jego rozstania z uczniami (Ew. Jana 14-16). Te ostatnie chwile uczniów z Panem przed Jego pójściem na krzyż nie były stosownym czasem, aby wychowywać ich w stanowczości: korygować ich niedociągnięcia i czynić sprostowania różnych uchybień. Na to było już „za późno”, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Ta szczególna chwila nie dawała na to miejsca. Moment ten należał tylko i wy-

⁵ czyt. Przyp. 27,6: „Razy przyjaciela są oznaką wierności” (przyp. tłum.)

łącznie do serca, które ponoszą najgłębsze uczucia. To prawda, że Pan objawił wówczas swoim uczniom nowe, cudowne i pełne głębokiego uczucia tajemnice odnośnie najdroższej relacji, jaką tylko posiadali – zażyłej i bliskiej relacji z Ojcem. Ale w Jego słowach nie widać choćby cienia jakiegś nagany czy napomnienia. Teraz, zwracając się do nich, nie używa już określeń w rodzaju: *małowierni* lub *Jeszcze nie rozumiecie?* Pojawiające się tu i ówdzie pojedyncze słowa, które mogłyby stwarzać pozór podobieństwa do używanych przez Niego wyrażzeń w podobnych chwilach, w okolicznościach wychodzącego na jaw niezrozumienia czy niewiary uczniów, służą jedynie temu, aby uczniowie poznali, jak bolesne jest dla Niego niezrozumienie tej głębokiej miłości, jaką On do nich żywi. Mamy tu do czynienia z świętą wzniosłością i uroczystym charakterem owej bolesnej dla Jego serca godziny pożegnania z tymi, których umiłował aż do końca. Nam, jako ludziom, uczucia takie nie są zupełnie obce – sami doznajemy ich w pewnej, choć niepełnej mierze, pośród różnych okoliczności życia. Dzięki temu powinniśmy być zdolni choćby trochę zrozumieć naszego Pana, podziwiając Go i wielbiąc za ten doskonały wyraz Jego najgłębszych i najszczerzych uczuć. Dosłownie, jak pisze kaznodzieja Salomon, *jest czas pieszczot i czas wstrzymywania się od pieszczot*. Tak brzmi prawo w „kodeksie miłości”, którego Pan Jezus zawsze przestrzegał.

Pan Jezus nie przyjmował jednak nigdy nadmiernie łagodnej, pobłażliwej postawy, jeśli sytuacja wymagała stanowczości. Spotykał się z wieloma okolicznościami,

które według ludzkiej wrażliwości i moralnego wyczu-
cia zasługiwały na naganę lub osądzenie. Jednak Pan nie
chciał pozyskiwać sobie uczniów przy użyciu środków
naszej cielesnej natury – będąc dla nich miłym, wzbu-
dzającym sympatię. *Miód* bowiem nie mógł być częścią
ofiary ogniowej składanej Panu, tak samo jak *kwasy*. Przy
ofiarach z pokarmów było wyraźnie powiedziane, że nie
mogły one zawierać ani miodu, ani też kwasu (3. Mojż.
2,11). I tak właśnie w życiu Pana Jezusa, które było tą
najprawdziwszą ofiarą z pokarmów, żadna z tych domie-
szek nigdy się nie znalazła. Uczniowie nie słyszeli z Jego
ust jedynie słodkich, łechcących ucho i przyjemnych
słów. Nie znajdujemy też u Pana ludzkiej powierzchownej
uprzejmości, przy pomocy której spełnia się czczone
pragnienia drugiej strony. Nie dążył do tego, aby być za
wszelką cenę lubianym, a jednak przyciągał do siebie
serca innych w ten najbardziej wewnętrzny sposób, i to
z mocą. Najwiarygodniejszym dowodem posiadania au-
tentycznej mocy moralnej jest właśnie zdobycie zaufania
drugiej osoby *bez specjalnego zabiegania o nie*, ponieważ
taki przypadek świadczy niezbicie o tym, że czyjeś serce
zostało przyciągnięte i zdobyte szczerą i nieobłudną
miłością. *Wszyscy potrafimy* – powiedział pewien pisarz
– *rozróżnić prawdziwą przychylność i szczerą pobudkę od*
jedynie powierzchownego poświęcania komuś uwagi i po-
zornej uprzejmości. Nikomu z nas nie jest obca ta prawda,
że nietrudno wykazać się tą drugą bez posiadania choćby
odrobiny pierwszej. Wielu sądzi, że zaufanie innych pozy-
skać można przez poświęcanie im uwagi. Wszyscy wiemy
aż nadto dobrze, że nic innego nie może tego zdziałać tak,

*jak jedynie prawdziwa i nieobłudna miłość. Ileż głębokiej prawdy kryje w sobie to stwierdzenie! Zwykła zewnętrzna uprzejmość, jeżeli nie kryje się za nią nic więcej, jest niczym innym, jak właśnie tym „miodem”, a ileż tego niezbędego materiału znajduje się niestety pośród nas! Być może nie posiadamy nawet wyższych aspiracji jak usunięcie z naszego życia kwasu (symbol zła) i czyniąc tak, wypełniamy tę powstałą w cieście lukę miodem, łudząc się, że wszystko jest w porządku. Jak taki stan może przejawiać się w praktyce? Oto tak: jesteśmy uprzejmi wobec innych, słodcy i przyjemni dla każdego, czynimy wszystko, co możliwe, aby z każdym żyć w zgodzie i pozostać na przyjacielskiej stopie. Staramy się dobrze wypełniać naszą funkcję w społeczeństwie i jesteśmy w pełni zadowoleni z samych siebie, a również i inni nie mają nam nic do zarzucenia. Ale czy na tym polega rzeczywiście służba Bogu? Czy jest to prawdziwa ofiara z pokarmów? Czy tak właśnie wyglądała moralność doskonałego Człowieka? Nie! Może myślimy w zgodzie z charakterem naszej starej natury, że nic nie działa lepiej lub skuteczniej, gdy chcemy osiągnąć zaszczytany przecież cel. Niezależnie jednak od naszej wątpliwej i ukształtowanej częstokroć przez skażone bodźce opinii fakt ten pozostaje nadal jedną z tajemnic świątyni: *miodu nie wolno było używać w celu nadania miłej woni ofierze*⁶.*

⁶ Myśli tutaj zawarte dotyczące dodawania miodu do ofiar mogą się nam wydawać niezrozumiałe. Jednak gdy weźmiemy pod uwagę konieczność dodawania soli do ofiar (3. Mojż. 2,13), wtedy wszyst-

On nigdy nie musiał przeproszać ani się usprawiedliwiać

Kontynuując, mogliśmy więc przyglądać się z całym wyważeniem w scenach obrazujących rozmaite relacje lub zróżnicowanie postawy, jak doskonałymi były moralna chwała i piękno wszystkich dróg i poczynań Syna Człowieczego! Życie Pana Jezusa było niczym blask jasno płonącego świecznika. Ten świecznik nie potrzebował ani szczypiec, ani popielnic ze szczerego złota, jak ów stojący niegdyś w domu Bożym (por. 2. Mojż. 25,38). Ten świecznik był zawsze przygotowany przed Bogiem i napełniony czystą, wytłoczoną oliwą (2. Mojż. 27,20). Będąc nim, Pan Jezus rozświetlał swe otoczenie, wystawiając wszystko na działanie światła i poddając jego niezafałszowanej próbie, pozostawiając przy tym samego siebie zawsze na pozycji nie do podważenia, bez możliwości jakiegokolwiek potępienia.

Bez względu na to, czy musiał stawiać czoła wyzwaniom pochodzącym od uczniów, czy oskarżeniom ze strony wrogów, jak to miało nieustannie miejsce, (Ps. 56,6), nigdy się nie usprawiedliwiał. Pewnego razu uczniowie uskarżali się przed Nim: *Nauczycielu! Nic cię to nie obchodzi, że giniemy?* (Ew. Marka 4,38). Ale On nawet nie myślał tłumaczyć swego zmęczenia i przy-

ko stanie się jasne. Ew. Mat. 5,13 wskazuje nam również na tę myśl. Jest to bowiem wyraz praktycznej sprawiedliwości, która ma być widoczna w naszym życiu, co jest zgodne z Bożą wolą, a nie ma nic wspólnego z ludzkim sposobem postępowania, tak rozpowszechnionym w tym świecie (przyp. tłum).

czyny snu, który uczniowie przerwali w tym momencie przepelnionymi gorzkim wyrzutem słowami. Innym razem zwrócili się do Niego z uwagą: *Widzisz, że lud napiera na Ciebie, a pytasz: Kto się mnie dotknął?* (Ew. Marka 5,31). Również i wtedy Pan Jezus nie widział potrzeby usprawiedliwiania się. Towarzyszące temu incydentowi uzdrowienie kobiety chorej na krwotok wyjaśniło zaraz Jego postępowanie. W innej znów sytuacji Marta zwróciła się do Niego z goryczą: *Panie! Gdybyś tu był, nie byłby umarł brat mój* (Ew. Jana 11,21). Czy widzimy, aby Pan się bronił? Skądże – nie usprawiedliwia wcale swej nieobecności w tym miejscu w tak decydującej chwili, gdy obie z Marią liczyły na Jego pomoc (Ew. Jana 11,17). Zamiast tego w ujmujący i delikatny sposób uświadamia Marcie, jak wielkie błogosławieństwo przyniesie to Jego wstrzymanie się z przybyciem. Jego działanie ze zwłoką zostało znakomicie usprawiedliwione!

Tak było w każdej sytuacji, w której prowokowano Go wyzywająco, krytykowano lub oskarżano – On nigdy nie powtarzał raz powiedzianego słowa ani nie cofał się, aby jeszcze raz przejść odcinek przebytej już uprzednio drogi. Uciszał wszelki język, który podnosił się przeciwko Niemu z osądem. W Ewangelii Łukasza 2,48 Pan Jezus nie przyznaje słuszności wyrzutom swej matki. Zdziwiona spotyka się z Jego zawartą w formie dwóch retorycznych pytań odpowiedzią, która odkrywa obecny w zakątkach jej duszy mrok i błędne myślenie. Piotr, który pozwolił sobie na otwarte zganiecie Go słowami: *Miej litość nad sobą, Panie! Nie przyjdzie to na*

ciebie (Ew. Mat. 16,22), musi usłyszeć szokującą prawdę, że to sam szatan zaszczeplił w nim myśl o napomnieniu Pana. Sługa w pałacu arcykapłana posunął się jeszcze dalej, uderzając Go w twarz (Ew. Jana 18). Na miejscu odbywania się sądu musi przekonać się, że czyniąc tak, sam łamie przykazania wynikające z zakonu.

Każda z tych sytuacji pokazuje nam drogę tego doskonałego Nauczyciela. Niewnikliwemu, powierzchownemu obserwatorowi mogłoby wydawać się, że co najmniej niektóre z tych zająć świadczą przeciwko Niemu. Dlaczego spał w łodzi, gdy szalały wiatry i wzburzone fale? Dlaczego dał zatrzymać się w drodze, podczas gdy umierała córka Jaira? Albo co ma oznaczać to granie na zwłokę i pozostanie na miejscu chwilowego pobytu przez kolejne dwa dni w obliczu tak poważnej sytuacji, gdy Jego przyjaciel Łazarz leżał złożony ciężką chorobą w odległej Betanii? Myśl taka jest jednak z gruntu fałszywa i nie jest niczym innym jak tylko mylącym złudzeniem. Pozornie sytuacje te mogły rzeczywiście przemawiać na Jego niekorzyść – ale tylko pozornie. Zastanawialiśmy się już nad postępowaniem Pana Jezusa – nad Jego snem, pozornym zwlekaniem, zanim przybył do grobu Łazarza; widzieliśmy także zakończenie każdej z tych historii, których finał mówi niezbitie o Jego doskonałości. Także za dni patriarchów, jak to było w przypadku Joba, z pozorów wszystko, co się działo, mogłoby być podstawą do zarzutów wymierzonych przeciwko Bogu. *Pozory mylą* – mówi stare ludzkie przysłowie i tkwi w nim głęboka prawda. Te same mylne pozory świadczyły przeciwko Bogu Joba już w zamierzchłych czasach patriarchów.

Posłaniec za posłańcem przynosił tragiczne wieści. Job nie zdążył jeszcze zaznać chwili spokoju i ochłonąć po ich otrzymaniu, a już zza rogu wyłaniał się kolejny, pomnażając gęszcz tych niezrozumiałych i niepojętych dla niego dróg. Czyż nie było to zbyt surowe i bezlitosne? Bóg wiedział, co czyni i nie miał potrzeby tłumaczyć się przed kimkolwiek ze swojego postępowania. Także i Pan Jezus nie sięgał po tę broń charakterystyczną dla niedoskonałych ludzi (Jak. 5,11).

Gdy przyglądamy się Panu Jezusowi jako temu emanującemu jasnym blaskiem świecznikowi, umieszczonemu w miejscu świętym, będącemu źródłem światła w domu Bożym, odkrywamy, że w stosunku do Niego *szczypce i popielnice* (2. Mojż. 25,38) były zupełnie zbędne. Nie miały one w Jego życiu choćby najmniejszego zastosowania. Dlatego usta tych, którzy Go oskarżali lub napominali, musiały zostać zamknięte. Musieli oni samu odebrać w danej sytuacji należne im napomnienie i odejść ze wstydem. Należne – ponieważ chcieli użyć szczypiec i popielnic do świecznika, który tego nie wymagał i czyniąc tak, udowadniali, jak bardzo są w błędzie. W takich momentach świecznik ten świecił jeszcze większym blaskiem niż zwykle (ale nie dzięki szczypcom i popielnicom), składając kolejne świadectwo o tym – i tak działo się przy każdej okazji – że nie potrzebował użycia takich narzędzi.

Wszystkie te przykłady udzielają nam, można by rzec, swoistej naučky, abyśmy milcząc stali u boku Pana Jezusa, pozwalając Mu działać, gdyż On sam wie najlepiej, co czyni. Możemy jedynie przyglądać się Jego

czynom w niemym podziwie i uwielbiać Go, lecz nie mieszać się, nie ingerować i nie wtrącać, jak czynili to niegdyś Jego przeciwnicy, krewni, a czasem nawet uczniowie. Żaden z nich nie był w stanie wzmocnić takim postępowaniem blasku tego światła, które lśniło tak promiennie! Powinni byli cieszyć się nim i kroczyć w nim, a nie manipulować, by poprawiać i ustawiać. Oby oko nasze było zdrowe, patrzące jedynie na Pana, a możemy być pewni, że ustawiona na świeczniku Jego lampa napelni całe nasze ciało światłością⁷!

Teraz jednak przejdę dalej. Pozwolę sobie w tym miejscu na spostrzeżenie, że tak, jak Pan Jezus podczas swojej służby nie starał się nigdy usprawiedliwiać przed ludźmi, tak też w godzinie swojej słabości, gdy wszystkie moce ciemności przysięgły się przeciwko Niemu, nie zdawał się na ludzką litość. Gdy został więźniem Żydów i pogan, nie prosił ich o łagodne traktowanie czy wypuszczenie na wolność ani też się z nimi nie procesował. Nie odwoływał się w żaden sposób do tak elementarnych ludzkich uczuć jak współczucie czy litość, nie prosił o darowanie Mu życia⁸.

⁷ Ew. Mat. 6,22: „Światłem ciała jest oko. Jeśli tedy oko twoje jest zdrowe, całe ciało twoje jasne będzie.” (przyp. tłum.).

⁸ W Psalmie 69,21 czytamy te poruszające słowa: „Oczekiwałem współczucia, ale nadaremnie”, jednakże odnoszą się one do uczniów, którzy byli z Panem w Getsemane, ale zasnęli. Wynika to z kontekstu tego psalmu. Duch Chrystusowy pokazuje nam tutaj uczucia Pana, ale wobec tych, którzy byli Jego własnością – to od nich oczekiwał On współczucia, lecz niestety go nie otrzymał. Nie oczekiwał jednak współczucia ze strony świata (por. Łuk. 23,27-28; przyp. tłum.).

Do swego Ojca zwrócił się z usilnym błaganiem w ogrodzie Getsemane, ale nie przejawiał najmniejszych starań o zmianę wyroku żydowskiego arcykapłana czy rzymskiego namiestnika. W ich obecności z Jego ust nie wyszło żadne słowo skargi. Wszystko, co powiedział w tamtej godzinie ciemności miało jedynie na celu obnażyć ohydę grzechu, jakiego dopuszczali się w owym momencie zarówno Żydzi, jak i poganie (Rzymianie).

Jakiż obraz! Czyj duchowy wzrok był w stanie go objąć? Został zaprezentowany, zanim jeszcze go opisano, jako ten, który zaistniał na długo przedtem, zanim inni zaczęli go podziwiać! To Syn Człowieczy! Ten, który stawiał swe kroki na tej ziemi w pełni moralnej chwały, której odbicie ukazuje nam Duch Święty poprzez czterech ewangelistów, był doprawdy doskonałym, nieskazitelnym człowiekiem. Obok autentycznej, szczęśliwej i głębokiej pewności Jego prawdziwej i osobistej miłości do nas (oby Pan zechciał pomnożyć tę pewność w naszych sercach!), nic nie jest w stanie tak bardzo wzmocnić w nas pragnienia przebywania z Nim już na zawsze, jak właśnie owo odkrywanie i zgłębianie Jego Osoby. Słyszałem o kimś, kto przyglądając się Jego jasnym i błogosławionym drogom, wymalowanym przez Ducha przy użyciu piór czterech ewangelistów, wybuchnął płaczem pełnym żarliwej miłości, wołając: *Ach, obym był już u Niego!*

Jeżeli wolno mi mówić za innych, umiłowani, oto co jest tym, czego chcemy, tym, czego pożądamy. My znamy naszą potrzebę, ale możemy powiedzieć – Pan zna nasze najgłębsze pragnienie.

On wyznaczał czas przechowywania i czas odrzucania

Ten sam kaznodzieja, którego już cytowaliśmy, powiedział: „*Jest czas przechowywania i czas odrzucania*” (Kazn. 3,6). Pan Jezus wiedział, kiedy był stosowny czas, aby coś przyjąć i zachować, a kiedy należało coś odrzucić.

Nie ma marnotrawstwa w służbie serca lub ręki, które działają ku uwielbieniu Boga – niechby były postrzegane nawet jako bardzo rozrzutne. *Wszak od Ciebie pochodzi to wszystko* – mówi Dawid do Pana – *i daliśmy tylko to, co z twojej ręki mamy* (1. Kron. 29,14). Byłoby tysiące gór należy do Niego wraz ze wszystkim, co napełnia ziemię (Ps. 50). Jednak faraon poczytywał zamiar Izraela, aby udać się na pustynię w celu złożenia ofiar Bogu za przejaw *lenistwa* i nieróbstwa, natomiast uczniowie uznali trzysta denarów, wydanych przez miłującą Go niewiastę na namaszczenie ciała Pana Jezusa, za ewidentną *stratę* (Ew. Mat. 26,6-13; Ew. Jana 12,1-8). Jednakże oddanie Panu tego, co jest przypisane tylko do Niego, co się Mu bezsprzecznie należy, tj. czci i ofiary, miłości płynącej ze szczerze oddanego serca, pracy i mozółu własnych rąk lub nawet swoich posiadłości i dóbr, nie jest ani lenistwem, ani też stratą. Złożenie tych rzeczy u stóp Boga to nasze podstawowe dzieło, jakie możemy wykonać. Zatrzymajmy się nieco przy tej myśli.

Porzucenie Egiptu nie było wyrazem lenistwa Izraelitów, podobnie jak też wylanie kosztownego olejku na głowę Pana nie było w żadnym razie stratą. Niemniej

jednak widzimy, że sposób kalkulowania charakterystyczny dla ludzi tego świata, który reprezentowany jest niestety aż nazbyt często także przez dzieci Boże, kazałby jednym i drugim postawić zarzut, że takimi właśnie te rzeczy są. Pozwólcie, że posłużę się klarownym przykładem. Jeśli jakiś wierzący świadomie rzeka się korzyści, nie wykorzystując nadarzających się, obiecujących okazji oferowanych mu przez świat, ponieważ dogłębnie pojął, co oznacza kroczyć drogą w społeczności z odrzuconym Zbawicielem, to zaraz znajdą się tacy, którzy ocenią to jako bierność, bezczynność lub zaprzepaszczenie okazji, które można byłoby w ich mniemaniu dobrze zagospodarować w służbie dla Pana. Lecz wszyscy, którzy tak mówią czy myślą, są niestety w błędzie. Z ich punktu widzenia pozycję w świecie, powiązaną z nią wpływowość i wynikające z niej przywileje należy uważać niemal za *dar ku wspólnemu pożytkowi* (1. Kor. 12,7) czy zbudowaniu innych (1. Kor. 14, 1-3.12). Jednakże odrzucony przez ludzi Chrystus udziela duszy, która Go poznała i weszła z Nim w ten duchowy związek, całkiem innego pouczenia. Pozycja czy tzw. „ustawienie się” w życiu, światowe korzyści, te nie do pominięcia okazje, są przesiąknięte na wskroś duchem Egiptu⁹, którego wyrzekł się Mojżesz, *nie zgadzając się (wł. wzbraniając się), by go zwano synem córki faraona* (Hebr. 11,24). Skarby Egiptu nie stanowiły dla niego wartości, ponieważ nie mógł ich

⁹ Egipt jest w Słowie Bożym jednoznacznym obrazem świata (przyp. tłum.)

w żaden sposób użyć dla Pana. Tak więc opuścił Egipt wraz z całą jego chwałą i przepychem, zaś Pan wyszedł naprzeciw swojemu stojącemu poza granicami tego systemu słudze i posłużył się nim, ale nie po to, aby pokazać wartość Egiptu i jego bogactw, lecz aby wyzwolić z jego kleszczy swój lud. Chciałbym przystanąć na chwilę w tym miejscu dla dokładniejszego omówienia tych myśli, które w moim odczuciu są dla nas niezwykle ważne i aktualne. To wyrzeczenie i odżegnanie się od świata wraz z jego najintratniejszymi ofertami, którego pięknym przykładem jest dla nas właśnie Mojżesz, musi być jednak oparte na wierze w odrzuconego Pana Jezusa i właściwym zrozumieniu głębokiego sensu Jego odrzucenia. W przeciwnym razie pozbawione będzie tego właściwego, autentycznego, pięknego charakteru. Jeśli postępujemy tak z czysto religijnych pobudek, aby wypracować sobie własną sprawiedliwość lub stworzyć pozór fałszywej duchowości i wierności w oczach wierzących, jest to coś znacznie gorszego niż samo lenistwo czy marnotrawstwo. Jest to smutny przypadek, w którym w rzeczywistości to nie my odnosimy zwycięstwo nad światem, lecz szatan nad nami. Jeśli jednak „krok Mojżeszowy” podejmujemy w prawdziwej wierze, z miłości do odrzuconego Pana oraz w zrozumieniu dla Jego stosunku do tego *teraźniejszego złego świata* (Gal. 1,4), będzie on wtedy prawdziwym uwielbieniem dla Boga.

Służenie ludziom kosztem prawdy Słowa Bożego i jego zasad nie jest chrześcijaństwem, choćby nawet i ci, którzy tak czynią, obwołani zostali „dobroczyńcami”, co wcale nierzadko rzeczywiście ma miejsce. Praw-

dziwe chrześcijaństwo ma na celu przede wszystkim oddanie czci (chwały) Bogu, jak też dobro i **prawdziwe** błogosławieństwo człowieka. Od stopnia, w jakim stracimy tę prawdę z naszych oczu, zależy nasz lekceważący lub pogardliwy zgoła stosunek do wielu rzeczy, które są wyrazem świętej, oddanej i rozumnej służby zgodnej ze Słowem Pana, a które postrzegać będziemy za niewłaściwe lub daremne. Fakt, że Pan wziął w obronę kobietę, która wylała kosztowny olejek na Jego głowę, odsłania nam głęboką wartość takiego postępowania (Ew. Mat. 26). Nade wszystko winniśmy zabiegać o oddanie chwały Bogu we wszystkim, co czynimy, chociaż ludzie mogą odrzucić usankcjonowanie takiej postawy, nie widząc w niej potencjału ku poprawie świata lub wyraźnej troski o dobro naszych bliźnich. Pan Jezus jednak spełniał w każdej sytuacji to, co odpowiadało Bożym słusznym roszczeniom w tym egoistycznym świecie, uznając jednocześnie prawa swego bliźniego wobec siebie.

On wiedział, kiedy coś „odrzucić” jako nieodpowiadające Jego woli, a kiedy coś „przechować”, czyli przyjąć i zachować. Zdecydowanymi słowami: *Zostawcie ją*, zganił uczniów, zadając im jednocześnie pytanie: *Czemu wyrzadzacie przykrość tej niewieście? Wszak dobry uczynek spełniła względem mnie.* Jednak po nakarmieniu kilku tysięcy Pan Jezus sam mówi do tłumów: *Pozbierajcie pozostałe okruchy, aby nic nie przepadło!* (Ew. Jana 6,12).

Tak wyglądało u Pana przestrzeganie Bożej zasady: *Jest czas przechowywania i czas odrzucania* (Kazn. 3,6). Bo nawet jeśli służba mająca pozór rozrzutności, pły-

nąca w geście uwielbienia z miłującego serca lub hojnej ręki, które nie potrafią odmówić nic swemu Panu, nie jest marnotrawstwem, to jednak służące ludziom za pokarm okruchy są poświęcone i nie należy ich wyrzucać. Ten sam Pan, który przy jednej okazji usprawiedliwił wydanie trzystu denarów, przy innej nie pozwolił, aby jakikolwiek kawałek jęczmiennych chlebów pozostał na ziemi. W Jego oczach okruchy te były święte. Stanowiły przecież pokarm utrzymujący ludzi przy życiu i pochodziły z ziela polnego, które Bóg dał człowiekowi za pożywienie, aby mógł żyć. Życie natomiast to rzecz święta. Bóg jest bowiem Bogiem żywych. Niegdyś powiedział człowiekowi: *Oto damę wam wszelką roślinę wydającą nasienie... i wszelkie drzewa, których owoc ma w sobie nasienie: niech będzie dla was pokarmem* (1. Mojż. 1,29) i dlatego Pan Jezus chciał, aby pokarm był poświęcony. Z kolei tym, którzy byli pod zakonem, zostało dane przykazanie: *Jeżeli będziesz oblegał jakieś miasto przez długi czas, walcząc przeciwko niemu, aby je zdobyć, nie niszczyć jego drzew, podnosząc na nie siekiere, bo z nich możesz się żywić; nie wycinaj ich więc, bo czyż drzewo polne jest człowiekiem, aby miało być przez ciebie oblegane? Tylko drzewo, które znasz jako drzewo niewydające owocu, możesz zniszczyć i ściąć...* (5. Mojż. 20,19-20). Jakimż marnotrawstwem, jaką profanacją byłoby wyrzucenie jedzenia, o które sam Bóg zatroszczył się dla człowieka, aby zapewnić mu możliwość utrzymania się przy życiu! Dlatego też Pan Jezus w swej doskonałej czystości i nieskazitelnym postępowaniu, pozostającym w każdej chwili Jego życia w doskonałej jedności z postanowie-

niami Boga, nie mógł pozwolić na to, aby jakiegokolwiek okruchy pozostały ot tak sobie na ziemi. *Pozbierajcie pozostałe okruchy, aby nic nie przepadło!* (Ew. Jana 6,12), brzmiały Jego słowa.

Nie jeden by powiedział, że są to tylko drobnostki, niewarte uwagi niuanse, ale to właśnie te najbłahsze wydarzenia i różnorodne okoliczności życia, w których Pan Jezus się znajdował, choć mogłyby się wydawać nie wiadomo jak małe i nieznaczące, były wyrazem Jego moralnej chwały. To ona nieustannie rozświetlała drogę na tej ziemi, po której stąpały Jego święte stopy i roztaczała się wokół Niego niczym najcudniej utkana szata. Człowiek nie był w stanie spostrzec ich wszystkich, gdyż jego duchowe zmysły były zbyt przytępione. Dla Boga jednak były one miłą wonią, przyjemnymi ofiarami – dziękczynną i z pokarmów, składanymi w świątyni.

Trzeba jeszcze dodać, że Pan nigdy nie oceniał ludzi na podstawie stosunku, jaki przejawiali oni względem Niego samego, co niestety aż nazbyt często ma miejsce wśród nas. Z natury jesteśmy skłonni oceniać innych zgodnie z tym, jak oni sami nas traktują. Naszą sympatię do danej osoby i zainteresowanie nią czynimy przy tym miarą do oceny jej wartości i charakteru. Lecz Pan Jezus nie postępował w ten sposób. Bóg jest Bogiem wszechwiedzącym, Bogiem prawdziwego poznania. U Niego dokonuje się dokładna i wnikliwa analiza każdego postępowania, poczynawszy od ukrytych motywów serca do zewnętrznych gestów i przejawów. Pan Jezus zaś w dniach swej służby na ziemi był wiernym odbiciem Bożej istoty. Oglądamy to przykładowo w Ewan-

geli Łukasza 11. Będąc u faryzeusza, który zaprosił Pana na wspólny posiłek, widzimy pozór uprzejmości i dobrych chęci u tego człowieka, ale Pan Jezus jest *Bogiem, który wszystko wie* (por. 1. Sam. 2,3) i jako ów wszechwiedzący Bóg doskonale „zważył”, ocenił tę sytuację z moralnego punktu widzenia. „Miód uprzejmości”, którym zaprawił ów faryzeusz swoje zachowanie, a który jest bezsprzecznie najważniejszym składnikiem życia społecznego tego świata, nie był w stanie wypaczyć prawdziwego poczucia smaku Pana Jezusa w ocenie tej sytuacji. On uznawał jedynie to, co było prawdziwe i doskonałe. Pozorna uprzejmość faryzeusza nie mogła zatem zadecydować o Jego ocenie sytuacji, gdyż posiadał w samym sobie doskonałą miarę, którą odważał wszystko, a która zgodna była ze świętością Bożą. Ten, który wchodzi tu w konfrontację z uprzejmością tego świata, jest wszechwiedzącym Bogiem, którego przenikliwy wzrok dociera do najmroczniejszych, nieprzejranych zakamarków ludzkiego serca i dlatego nie może być nawet mowy o tym, aby taka pozorna uprzejmość ostała się wobec Jego świętej Osoby, pozyskując Jego uznanie.

Och, ileż głębokich i aktualnych pouczeń odkrywamy, śledząc dokładnie, krok po kroku, tę scenę! Uprzejme zaproszenie faryzeusza było dobrze obmyśloną planem i miało jedynie zakamufłować prawdziwy zamiar, z jakim nosił się zapraszający, otwierając przed swym gościem drzwi swojego domu. Gdy tylko Pan Jezus przekroczył próg, gospodarz zachował się jak typowy faryzeusz, a nie jak powinien był postąpić praw-

dziwy gospodarz. Zdumiewał się nad tym, że Pan Jezus jako jego gość popełnił tak niesłychany nietakt, jakim w jego oczach było to, że nie umył przed jedzeniem rąk (w. 38). Postawa, jaką przybrał już na samym początku oraz charakter, w jakim wystąpił, wychodzą na koniec z całą jaskrawością na jaw (w. 53-54). Pan Jezus od początku tej sytuacji postępuje we właściwy dla siebie sposób, stosowny do czasu, miejsca i rozgrywającej się sceny oraz zgodnie ze swą prawdziwą istotą – jako Bóg wszechwiedzy, przed którego oczyma wszystko jest obnażone i nic nie zdoła się ukryć. Ktoś mógłby powiedzieć, że okazana Mu uprzejmość powinna była skłonić Go do taktownego milczenia. Ale u Pana zwykle ludzkie względy nie odgrywają roli. Nie mógł patrzeć na tego faryzeusza jedynie przez pryzmat jego na pozór przychylnego stosunku do siebie. Pochlebstwa pod Jego adresem nie były w stanie odwieść Go od sprawiedliwej oceny. Pan Jezus wywodzi wszystko na światło, demaskuje, napomina, ukazując wnętrze ludzkiego serca (w. 39). Zakończenie tego spotkania przemawia całkowicie na Jego korzyść. Czy mogłoby być inaczej? Czytamy: *A gdy stamtąd odchodził, zaczęli uczeni w Piśmie i faryzeusze gwałtownie nań napierać i wypytywać go o wiele rzeczy, czyhając nań, **by go przychwycić na jakimś słowie*** (Ew. Łuk. 11,53-54). Widzimy zatem, że każde słowo i każdy gest Pana Jezusa były i tam, jak zawsze, właściwe, sprawiedliwe i doskonałe, całkowicie na swoim miejscu.

Zupełnie odmienne zachowanie Pana oglądamy w domu innego faryzeusza, który również zaprosił Go

na wspólny posiłek (Ew. Łuk. 7). Szymon jednakże nie ukrywał niczego pod pretekstem zaproszenia – wręcz przeciwnie. Co prawda i on zachował się jak typowy faryzeusz, potępiając – nieoficjalnie być może – biedną grzesznicę z miasta i nawet swego znakomitego gościa za to, że pozwolił jej przystąpić do Niego. Jednakże sprawiedliwa ocena nie może opierać się nigdy na zwykłych pozorach. Często te same słowa, wypowiedziane przez dwie różne osoby, mogą kryć w sobie zupełnie odmienne znaczenie. Tak więc sam Pan, który bada i odważa wszystko w doskonały, Boży sposób, choć gani co prawda Szymona i ukazuje przed nim w prawdziwym świetle jego własne wnętrze, to jednak zwraca się do niego po imieniu i opuszcza jego dom jako szanowany gość. Czyni więc różnicę między faryzeuszem z Łukasza 7, a tym z Łukasza 11, chociaż z obydwoma zasiadł przy wspólnym posiłku.

Spójrzmy na moment na Pana w owej dobrze znanej rozmowie z Piotrem, opisanej w Ewangelii Mateusza 16. Mówiąc: *Miej litość nad sobą, Panie! Nie przyjdzie to na Ciebie*, Piotr dał bezsprzecznie wyraz głębokiemu przywiązaniu do Pana i uczuciu, jakie wypełniało jego serce. Pan Jezus, który najlepiej o tym wiedział i potrafił to dostrzec, ocenia jego słowa wyłącznie w ich moralnym wymiarze. W obliczu przejawów czyjejś sympatii lub wyrazów uhonorowania skierowanych do nas, reakcja taka przyszlaby nam zapewne z wielkim trudem – tracąc w takich okolicznościach zdolność bezstronnej i sprawiedliwej oceny, uznalibyśmy to za zbyt surowe. *Idź precz ode mnie, szatanie!*, to jakże daleka odpowiedź

od tego, co dyktuje natura podatna na manipulację pod wpływem przyjemnych dla ucha słów. Musimy pamiętać, że Pan Jezus, słuchając Piotra, nie traktował jego wypowiedzi jedynie w jej dosłownym, płytkim wymiarze, jako wyraz osobistej życzliwości i dobrej woli wobec Niego. Jego wzrok sięgał o wiele dalej. On rozsądził te słowa, ocenił je w świetle Bożej woli i natychmiast uznał za pochodzące od wroga, który podsunął je Piotrowi. Musimy zdawać sobie sprawę z faktu, że przeciwnik, który potrafi zamienić się w anioła światłości, bardzo często czai się za uprzejmymi i miłymi słowami.

Podobnie zachował się Pan Jezus wobec Tomasza w Ewangelii Jana 20. Owszem, Tomasz uczcił Go słowami: *Pan mój i Bóg mój*. Niemniej jednak Pan Jezus nawet przez ten wyraz głębokiej czci i uwielbienia nie dał się ściągnąć z wyżyn swej moralnej doskonałości, z których był w stanie dojrzeć nawet najdrobniejszy szczegół z tego, co działo się wokół Niego. Słowa ucznia były bez wątpienia szczere i pochodziły z głębi serca, które zostało oświecone przez Boga i w przejawie autentycznej skruchy wobec zmartwychwstałego Zbawiciela porzuciło swe uprzednie wątpliwości i niedowiarstwo, składając Mu należny hołd i uwielbienie. Jednak musimy zauważyć, że Tomasz trzymał się z dala tak długo, jak tylko mógł, przekraczając tym samym pewną granicę. Wprawdzie wszyscy uczniowie wykazali się pewną dozą niewiary w zmartwychwstanie, lecz to Tomasz był tym, który uparcie obstawał przy tym, że nie uwierzy, dopóki jego zmysły nie otrzymają namacalnych dowodów. Taką była jego moralna kondycja i Pan Jezus

wyznacza mu tę moralną pozycję, na jaką zasługuje, podobnie jak wcześniej uczynił to z Piotrem. *Że mnie ujrzałeś, uwierzyłeś*, mówi, *błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli*. Czyż nie jest to dla nas zdumiewająca? Gdyby któremuś z nas okazano taką troskę, jaką wykazał się Piotr względem Pana i taką cześć, jaką Mu potem oddał Tomasz, to nie byłibyśmy w stanie oprzeć się tej wynikającej stąd duchowej presji. Jednak nasz doskonały Nauczyciel nie żył na tej ziemi dla siebie samego, lecz dla Boga i złączonej z Nim prawdy. Spójrzmy wstecz na czasy Heliiego, kiedy to Izraelici nie omieszkali okazywać wprawdzie należnej, nabożnej czci Skrzyni Przymierza i nie zapominali, aby przywieźć ją na pole walki (1. Sam. 4). Czy był to objaw ich szczerości wobec Boga i prawdy władającej ich sumieniami? Czyniąc tak, myśleli, że obecność Arki zapewni im zwycięstwo i że w takim stanie rzeczy wszystko musi potoczyć się na ich korzyść. Ale czyż Bóg Izraela, Bóg prawdy, mógł zadowolić się czymś tak powierzchownym? – Izraelici ponieśli tu dotkliwą klęskę z ręki Filistynów. Również Piotr i Tomasz, jak czytaliśmy powyżej, zostali zganieni, pomimo tego, że Pan Jezus, wciąż ten sam Bóg Izraela co wtedy, został przez nich uczczony.

Nic niemający, a jednak wszystko posiadający

Aniołowie w niebie radują się wielce z pokuty skruszonych grzeszników: *Taka, mówię wam, jest radość wśród aniołów Bożych nad jednym grzesznikiem, który się upamięta* (Ew. Łuk. 15,10). Jak to dobrze, że Bóg od-

krył przed nami tę tajemnicę niebios, której ilustracje oglądamy jedną po drugiej w 15. rozdziale Ewangelii Łukasza!

Istnieje jednak coś jeszcze nieporównanie wznioślejszego. Radość, o której tu mowa, ma miejsce w niebie, jest *publiczna*, znajduje swój zewnętrzny wyraz i grono tych, którzy ją dzielą. Cały dom raduje się z tego, jak czytamy w Ewangelii Łukasza 15, poczytując to wielkie wydarzenie za swoją wspólną radość. Ale jest coś, co przewyższa i to. Myślę przy tym o niedościgłej, przewyższającej wszystko radości, przepełniającej po brzegi *Boże serce*, przelewającej czarę najgłębszego szczęścia. Radość nieba zobrazowana jest wielokrotnie w uprzednio już wspomnianym 15. rozdziale Ewangelii Łukasza, natomiast radość Bożego serca opisana jest w Ewangelii Jana 4,31-34. I nie muszę chyba mówić, że radość płynąca z Bożego serca jest radością głębszą. Ten rodzaj radości ma szczególny charakter. Jest ona doskonała, cicha i osobista. Co więcej, nie potrzebuje tych, którzy by ją wniecali czy podtrzymywali. Ona nie jest zależna od innych. Zwróćmy uwagę na słowa Pana: *Ja mam pokarm do jedzenia, o którym wy nie wiecie*. Wypowiedź ta objawia nam serce Chrystusowe, które, zakosztowawszy tej radości, rozkoszuje się nią i tryska. Chwała wypełniła ów dom i jego mieszkańcy musieli na chwilę stanąć w cieniu z boku. Oto dobry Pasterz dopiero co wniósł do domu na swych mocnych ramionach zagubioną owcę (Samaritanę), ale towarzysząca temu wydarzeniu radość należała w każdym calu do Niego. Gdy ta zbawiona kobieta, niegdyś grzesznica,

opuszczała Go szczęśliwa, nie nadszedł jeszcze moment, w którym domownicy nieba zostaliby zwołani do współudziału w tej radości. Uczniowie odczuwali szczególnie charakter tej chwili. Odwołując się do obrazów starotestamentowych, można by powiedzieć, że mamy tu do czynienia z tym tłuszczem zarezerwowanym dla ołtarza, najdoskonalszą częścią ofiary (3. Mojż. 3,3-5). *Pokarm dla Boga* (3. Mojż. 3,11) był przygotowany, a uczniowie milcząc, stali z boku. To była cudowna, zdumiewająca chwila, jakich niewiele miało miejsce na tym świecie. Tutaj oczom naszym jawi się głęboka, niewypowiedziana i cicha radość Bożego serca, tak jak entuzjastyczna, ekstatyczna radość nieba w Ewangelii Łukasza 15.

Lecz Pan, który mógł posilić się tak obfitą ucztą, jako człowiek wcale nierzadko dotknięty był zmęczeniem, głodem czy pragnieniem. Widzimy to aż nader wyraźnie choćby w tym samym 4. rozdziale Ewangelii Jana czy w Ewangelii Marka 4, choć istnieje pewna różnica między tymi dwoma przykładami. W Ewangelii Marka czytamy o śpiącym Panu Jezusie, który odpoczywa, aby zregenerować swe siły. W Ewangelii Jana 4, choć także ogarnięty znużeniem (w. 6), jest zupełnie niezależny od tych zewnętrznych rzeczy. Ale skąd ta różnica? W Ewangelii Marka Pan Jezus ma za sobą długi dzień znoju, czego naturalną konsekwencją jest zmęczenie, jakie dotyka każdego człowieka po pracowitym dniu: *Człowiek wychodzi do pracy swojej, do pracy swej aż do wieczora* (Ps. 104, 23). Potrzebuje zatem snu, aby wzmocnił się i odnowił swe siły, tak niezbędne

do oczekującej Go następnego dnia służby, do której o świcie znowu powróci. Tak więc Pan Jezus zasypia na wezgłowie, potwierdzając tym samym naturalny bieg rzeczy pod słońcem. W 4. rozdziale Ewangelii Jana po raz kolejny napotykamy zmęczonego Pana, który głodny i spragniony siedzi przy studni niczym utrudzony podróżą wędrowiec, czekając nadejścia uczniów z pobliskiej wioski, którzy udali się tam, aby nabyć nieco pożywienia. Lecz gdy przychodzą, ku swemu głębokiemu zdumieniu znajdują Go nasyconym i wypoczętym – i to bez przyjęcia pokarmu, napoju czy ucięcia choćby krótkiej drzemki. Tak potrzebne orzeźwienie i pokrzepienie otrzymał bowiem na innej drodze, bez konieczności skorzystania ze snu i pokarmu. Został uszczęśliwiony owocem swojej pracy wykonanej w duszy biednej grzesznicy. Kobieta poszła dalej swoją drogą, radując się z wolności zbawienia Bożego. W Ewangelii Marka 4 nie było duszy pokroju Samarytanki, która zaspokoiłaby Jego pragnienie w duchowy sposób, tak więc Pan, nie otrzymawszy zaspokojenia swych potrzeb na tej duchowej drodze, jako prawdziwy człowiek musi ulec zmęczeniu przypisanemu naturze człowieka i złożyć swą zmęczoną głowę na wezgłowie, zaspokajając tym samym naturalną potrzebę.

Jak dobrze znane i jakie bliskie są nam te odczucia będące wspólnym losem wszystkich ludzkich istnień! Jakież autentyczne i jakże zgadzające się w każdym calu z naszymi codziennymi doświadczeniami! Każdy z nas jest w stanie je zrozumieć. W scenie wymalowanej przed nami przez Jana w 4. rozdziale spisanej przez

niego Ewangelii, widzimy serce Pana, przepelnione głębokim szczęściem, podczas gdy w sytuacji opisanej w Ewangelii Marka 4 nie było niczego, co mogłoby je rozradować. Słowo Boże mówi nam w następujących słowach (i osobiste doświadczenia każdego z nas potwierdzają zawartą w nich prawdę): *Radosne serce jest najlepszym lekarstwem; lecz przygnębiony duch wysusza ciało* (Przyp. 17,22). Dlatego w pierwszym przypadku Pan Jezus może powiedzieć: *Ja mam pokarm do jedzenia, o którym wy nie wiecie*, podczas gdy w drugim sięga po poduszkę, która jest najlepszym rozwiązaniem na ogarniające Go zmęczenie.

Jakże doskonałym było Jego człowieczeństwo, które przywdział, przychodząc na tę ziemię! On, odwieczny Syn Boży, stał się najprawdziwszym człowiekiem i miał autentyczny udział w naszej ludzkiej naturze, z jednym absolutnym wyjątkiem: nie znał grzechu. Doskonale nas rozumie i współczuje nam, gdyż zna słabość i kruchość naszego ciała.

Jednak pójdźmy dalej w naszych rozważaniach. W czasach ogólnego pomieszania i duchowej dezorientacji, znajdujemy się w szczególnym niebezpieczeństwie ulegnięcia pokusie porzucenia i zaniechania wszystkiego, co słuszne, w ogarniającym nas poczuciu beznadziejności i złudzeniu, że w obliczu wszechobecnego nieporządku i upadku oraz szerzącego się odstępstwa nie ma żadnego sensu w rozróżnianiu pomiędzy dobrem a złem i trzymaniu się tego, co właściwe. Po cóż się zatem jeszcze trudzić? – być może niejeden z nas zadaje sobie takie czy też podobne pytanie.

Taka postawa była zupełnie obca Panu. Otoczony tym samym pomieszaniem, duchowym chaosem i dezorientacją, co i my, nigdy do nich nie należał, tak samo jak będąc *na* świecie, nie był z tego świata, co już wcześniej mogliśmy o Nim stwierdzić. Spotykał się z ludźmi najróżniejszego pokroju, w najróżniejszej wewnętrznej kondycji, ale zawsze trzymał się swojej wąskiej, czystej i prostej drogi – drogi niesfałszowanej, bezkompromisowej prawdy. Zarozumiałość faryzeuszy, światowość herodian, saduceuszowska skłonność do filozofowania, chwiejność tłumu, ataki przeciwników, niewiedza i uchybienia uczniów – wszystkie te rzeczy tworzyły środowisko, w którym przyszło Mu codziennie funkcjonować i przynosiły moralne wyzwania, którym dzień w dzień musiał stawiać czoła.

Do tego wszystkiego należałoby dodać aktualny stan rzeczy oraz charaktery ludzi, które były również niełatwą próbą, doświadczającą Jego serce: moneta cesarza będąca w obiegu w ziemi Immanuela (tzn. „Bóg z nami”; Ew. Mat. 1,23), leżące w gruzach mury, mające oddzielać wybrany przez Boga naród żydowski od pogan. Żydzi i poganie, czyści i nieczyści, wymieszani ze sobą, za wyjątkiem tych sytuacji, w których religijna duma Żydów, przejawiająca się w zachowywaniu obzędów i zwyczajów, kazała im trzymać się w odłączeniu przez poczucie wyższości. Lecz złota zasada Pana: *Oddawajcie więc, co cesarskiego, cesarzowi, a co Bożego, Bogu*, której sam zawsze się trzymał, składała niezbite świadectwo o Jego niedościgłej nienaganności, jaką wykazywał się w każdym położeniu i z jaką wychodził

naprzeciw każdemu moralnemu wyzwaniu, którymi usiana była ścieżka Jego ziemskiej wędrówki.

Przypomnijmy sobie o dawniejszych czasach niewoli żydowskiej. Wierna resztką Izraela, funkcjonująca w podobnie zniechęcających okolicznościach pomieszczenia i zatarcia poczucia Bożych praw oraz zasad, zachowała piękny charakter tych, którzy potrafią rozróżnić pomiędzy tym, co właściwe i miłe Bogu, a tym, co godzące w Jego świętą Osobę, nie zaniechawszy wszystkiego jako niemającego znaczenia i sensu. Słowo Boże pełne jest takich przykładów. Daniel, owszem, był doradcą króla, ale nie jadał z jego stołu, aby się nie zanieczyścić (czyt. Dan. 1,8). Służący w pałacu królewskim Nehemiasz, wierny przykazaniom Bożym, nie tolerował obecności Moabitów i Ammonitów w domu Pańskim. Mordochaj strzegł życia króla, lecz nie kłaniał się przed Amalekitą Hamanem. Ezdrasz i Zerubbabel przyjęli objawy przychylności ze strony władcy perskiego, lecz nie zaakceptowali oferty pomocy ze strony Samarytan i nie pozwalali na małżeństwa z poganami. Uprowadzeni w niewolę Judejczycy modlili się o pokój dla Babilonu, lecz nie śpiewali tam pieśni Syjonu¹⁰. Wszystkie te osoby są pięknym przykładem resztki, pragnącej pozostać wierną swemu Bogu. Pan Jezus doskonale objawił ów charakter resztki podczas swego krótkiego życia na tej ziemi. To wszystko apeluje również i do nas, ponieważ dzisiaj żyjemy w czasach, które

¹⁰ Czyt. kolejno: 5. Mojż. 23,4; Neh. 13,1-4; Estery 2,21-23; 3,1-3; Ezdr. 1,1-5; 4,1-3; 10; Ps. 137,1-4 (przyp. tłum.)

charakteryzują się pomieszaniem co najmniej równym temu, jaki panował za czasów niewoli żydowskiej lub za życia Pana Jezusa na ziemi. Podnieśmy nasze omdlałe ręce i dajmy się zachęcić, abyśmy, idąc za przykładem wymienionych powyżej mężów, nie żyli w gorzkim zwątpieniu w sens i wartość Bożych zasad czy planów, lecz jako ci, którzy dobrze wiedzą, jak oddawać cesarzowi, co cesarskie, a co Bożego, Bogu.

Niezmienna i nigdy niesłabnąca doskonałość Pana Jezusa jest dla nas godnym naśladowania wzorcem. Jednak jest pewien aspekt, w którym nigdy nie będziemy dostawać, gdyż też nie możemy – myślę w tym momencie o Panu Jezusie w Jego Bożej postawie wobec zła. Jest to stanowisko, którego my jako ludzie posiadający grzeszną naturę absolutnie nigdy nie mogliśmy zająć. Jedyne On mógł dotykać trędowatego lub umarłego na noszach, pozostając czystym. Wykazywał się nieustannie Boskim postrzeganiem grzechu. Wiedział doskonale, czym jest dobro i zło, ale w swej Boskiej nieograniczoności miał władzę i wyższość nad jednym i drugim, gdyż znał te rzeczy tak, jak Bóg je zna. Gdyby nie był tym, kim przecież bezsprzecznie był, to musiałby zanieczyścić się dotknięciem trędowatego czy też noszy, na których spoczywał umarły. Wymagałoby to wydalenia Go poza obóz i przejścia przez cały obrzęd oczyszczenia określony przez zakon. Lecz nic podobnego nie miało miejsca. On nigdy nie został zaliczony w poczet nieczystych Żydów. Nie tylko był niezanieczyszczony – On był **niezanieczyszczalny**. Zło w jakiegokolwiek formie nie imać się Go i nie miało

do Niego choćby najmniejszego przystępu. A jednak pozostaje ta druga niepojęta strona Jego niezgłębionej Osoby, przewyższająca nasze zrozumienie tajemnica Jego jednoczesnego Bóstwa i najprawdziwszego, autentycznego człowieczeństwa, co skutkowało tym, że atakujące Go pokuszenia były wobec Niego jednakowo realne jak i Jego niezanieczyszczalność.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę nad tą myślą. Naszą jedyną powinnością i jedyną będącą na miejscu reakcją względem tak tajemniczej, niepojętej i wzniosłej prawdy, jest przyjęcie jej w milczącym uwielbieniu. Jakikolwiek roztrząsanie jej, czynienie tematem dyskusji, poddawanie pod lupę ludzkiej, racjonalizującej analizy i dysputy nie przystożą nam w żadnej mierze. (Jego śmierć, chciałbym wykorzystać okazję, aby o tym powiedzieć, była ukoronowaniem wśród najdoskonalszych wyrazów Jego moralnej chwały, która jest przedmiotem naszych rozważań; Fil. 2. Oczywiście jestem tego świadom, że była czymś o wiele większym niż tylko tym.). Jest to pocieszające, jeśli u niektórych szczerych wierzących wyraźnie widzimy, że chodzi im tylko o Chrystusa. Często bowiem obchodzimy się z prawdami Słowa Bożego w taki sposób, że na koniec nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wstydzić się, bo chociaż tak gorliwie się w nie zagłębialiśmy, to jednak dostrzegamy, że nie osiągnęliśmy w tym wcale Chrystusa. Gdy to spostrzegamy, dochodzimy do upokarzającego wniosku, że zmarnowaliśmy tylko czas.

Pan był ubogi, a jednak wielu ubogacający, jako nic niemający, a jednak wszystko posiadający (2. Kor. 6,10).

Ten Jego wzniosły i cudowny charakter tu na ziemi objawiał się u Niego w całkowicie osobliwy, tylko Jemu właściwy sposób. Przyjmując posługę bogobojnych kobiet, które udzielały Mu ze swoich majątkości, potrafił równocześnie czerpać z ziemi i pełni jej zasobów w celu zaspokojenia potrzeb otaczających Go ludzi. Choć karmił tysiące chlebem na pustyni, sam potrafił cierpieć głód i w swym łaknieniu czekać nawet na uczniów, którzy poszli do miasta nakupić żywności (Ew. Jana 4). To właśnie oznaczało u Niego: *Nic niemający, a jednak wszystko posiadający*.

Chociaż Pan był ubogi i potrzebujący, narażony na wszelkiego rodzaju pokusy i niebezpieczeństwa, to jednak u Niego nie znajdziemy choćby cienia czy najmniejszego przejawu niegodnego postępowania, które towarzyszy tak często ludziom znajdującym się w podobnym położeniu, dotkniętym przez Jemu podobny los. Nigdy nie prosił o jakiś dar i nie żebrał, choć sam nie posiadał ani denara, o czym wiemy z sytuacji, kiedy, potrzebując monetę (jednak nie dla własnego użytku), musiał poprosić, aby Mu ją pokazano (Ew. Łuk. 20,20-26). Nigdy nie uciekał, gdy wisiała nad Nim groźba śmierci, gdy Jego życie było narażone na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wycofywał się lub przechodził obok jakby niedostrzeżony. Dlatego jeszcze raz to podkreślimy: chociaż niedostatek, wręcz skrajne ubóstwo i niebezpieczeństwa były Jego nieodłącznymi towarzyszami, to nigdy nie sięgał po wątpliwe, niegodne środki pomocy. Osobista godność przyozdabiała każdy Jego czyn, charakteryzując sposób Jego bycia i postępowanie.

Jakaż niezrównana doskonałość i piękno zdołały wszystkie Jego ścieżki! Któż mógłby równać się z Nim, tak doskonałym, nienagannym i tak nadzwyczajnie czystym, nawet w najdrobniejszych, najbłahszych i tak zwyczajnych aspektach ludzkiego życia? Nawet życie apostoła Pawła nie dostaje temu ideałowi. Jedynie Jezus, Bóg-Człowiek, przedstawia nam taki obraz. Te nadzwyczajne cechy Jego charakteru i cnoty, ujawniające się w zaskakującej powszedniości codziennego życia, mówią nam wiele o Jego Osobie. Ktoś, kto potrafił objawić tak *szczególne* cechy w tak *nieszczęśliwych*, powszednich sytuacjach, musiał doprawdy być *szczególną* Osobą – Boskim człowiekiem – jeśli uznamy to za właściwy sposób ujęcia Jego doprawdy niemożliwej do wyrażenia zwykłymi słowami istoty. Powtórzmy to jeszcze raz – u Pawła na próżno będziemy szukać takiego postępowania. Bez wątplenia był człowiekiem o niespotykanej moralności i godności, honorowym, przewyższającym wielu. Jeśli mielibyśmy wskazać na kogoś z ludzi, który mógłby się wykazać cechami godnymi naśladowania w najwyższym stopniu, pierwszym kandydatem byłby tutaj niewątpliwie apostoł Paweł. Niemniej jednak jego drogi nie dorównują ścieżkom Pana Jezusa. Pozwólcie, że podam kilka przykładów. Gdy życie apostoła było zagrożone, posłużył się swym siostrzeńcem, aby go ochronił (Dz. Ap. 23). Innym razem przyjaciele spuścili go w koszu przez mur (Dz. Ap. 9). Nie powiem, że o to prosił albo się tego domagał, gdy, jak wiemy, przyjmował jednak przesyłane mu dary. Dodam, jak przyznał się być faryzeuszem w mieszanym gronie po to, aby ustrzec

swe życie lub też ów niegodny sposób, w jaki zwrócił się do sądzącego go człowieka, arcykapłana, który kazał go uderzyć (Dz. Ap. 23). Takie zachowanie było moralnie niewłaściwe, ale mi zależy tutaj raczej na przedstawieniu takich przypadków, które, nie będąc wprawdzie same w sobie złem, nie dorastały jednak do tej doskonałej pozycji moralnej, która na wskroś przenikała życie Chrystusa. Nawet tzw. ucieczka do Egiptu nie mogłaby być przytoczona tutaj jako argument na niekorzyść Pana, ponieważ została podjęta z Bożego nakazu, aby stało się zadość słowom prorocтва.

Lecz to wszystko, o czym tutaj mówimy, jest w rzeczywistości czymś więcej niż tylko moralną chwałą czy wspaniałością, jak określaliśmy to dotychczas. To MORALNY CUD. Możemy jedynie zastanawiać się, jak to możliwe, że pióro trzymane zwykłą ludzką ręką mogło w ogóle nakreślić roztaczający się przed nami obraz tak dalece przewyższającego wszystko piękna. Możemy ten cud wyjaśnić tylko tak, że jest on prawdziwą, żywą rzeczywistością, która zaistniała wśród nas, co zapiera nam dech i każe zamilknąć.

**Jego słowa zawsze łaskawe, zaprawione solą –
Jezus wczoraj i dziś, ten sam i na wieki**

Słowo Boże mówi: *Mowa wasza niech będzie zawsze uprzejma* (wł. *niech będzie zawsze z łaską*), *zaprawiona solą, abyście wiedzieli, jak macie odpowiadać każdemu* (Kol. 4,6). Doprawdy, nasze słowa powinny być zawsze łaskawe, aby były z pożytkiem dla innych i przyniosły

błogosławieństwo słuchającym (wł.: *udzieliły łaski słuchającym*; Efez. 4,29). Często jednak słowa nasze mają raczej charakter napomnienia, czasem nawet w zdecydowanym i surowym tonie. Mogą tchnąć gorliwością, a nawet świętym gniewem i gdy tak się dzieje, to wpisują się w drugi schemat podany tu przez Pismo – są jako te zaprawione solą. Jeśli nasze słowa łączą w sobie natomiast **obie** te właściwe i zarazem piękne cechy i, wypowiedane z łaską, zaprawione są jednocześnie odpowiednią dawką soli, objawia to, że wiemy, jak mamy udzielać odpowiedzi drugiej osobie.

Pośród wszystkich innych cech moralnej doskonałości Pana Jezusa, wyróżniał się On właśnie tym, że doskonale wiedział, jak należy odpowiadać każdemu we właściwy sposób. Jego słowa zawsze niosły głęboki pożytek dla duszy Jego rozmówcy, bez względu na to, czy chciał ich wysłuchać, czy też nie. Były to wypowiedzi rzeczywiście zaprawione solą, i to niejednokrotnie całkiem solidną dawką. Możemy to zaobserwować, przyglądając się choćby udzielanym przez Pana Jezusa odpowiedziom na zadawane Mu pytania. W takich chwilach nie był tak bardzo zainteresowany zaspokojeniem ciekawości i samym tylko usatysfakcjonowaniem pytającego, lecz miał zawsze na uwadze jego duchowy stan i sumienie, które pragnął poruszyć.

W milczeniu Pana Jezusa lub też w odmowie udzielenia odpowiedzi pod koniec Jego ziemskiej drogi, gdy stał przed Żydami i poganami podczas kolejnych przesłuchań u arcykapłanów, Heroda i Piłata, możemy dostrzec tę samą doskonałość i wycucie, jakie przeja-

wiał przy innych okazjach w swych słowach i odpowiedziach. Tym samym złożył przed Bogiem dowód, że co najmniej jeden spośród synów ludzkich wiedział, kiedy *jest czas milczenia i czas mówienia* (Kazn. 3,7). W Jego sposobie mówienia i reagowania nietrudno dostrzec pełny wachlarz tonów wypowiedzi, dostosowanych ściśle do aktualnych okoliczności. Różnorodność ta, czasem niepozorna i wydawałoby się bez znaczenia, zaś innym razem bardzo wyrazista, była jednak zawsze miłą wonnością wznoszącą się ku Bogu. Nierzadko słowa Pana Jezusa były łagodne i miłe – innym razem zdecydowane i ostre. Czasem pouczał, a czasem ganił z pełną gorliwością. W niektórych momentach spokojne pouczenie potrafiło przerodzić się w słowa najpoważniejszego potępienia – a wszystko to dlatego, że oceniał zawsze swym byстрыm, przenikliwym wzrokiem prawdziwą wartość i moralne znaczenie chwili.

W tym kontekście szczególnie uderzył mnie 15. rozdział Ewangelii Mateusza, w którym w szczególny sposób dostrzegam ten aspekt doskonałości Pana Jezusa. W tym rozdziale Pan raz po raz zostaje wzywany do udzielania odpowiedzi: m. in. faryzeuszom, ludowi, cierpiącej cudzoziemce z wybrzeża Tyru i wciąż na nowo swoim uczniom, których pytania były przejawem albo głupoty, albo panującego w ich sercach egoizmu. Możemy zauważyć Pana Jezusa, który w zależności od sytuacji to napomina, to argumentuje i wykazuje, to z rzadką, niewyczerpaną cierpliwością udziela pouczeń lub w pełen mądrości, wierności i łaski sposób dokonuje szlifowania bliskich mu dusz. Wnikając w Jego wypowiedzi, nie

możemy się oprzeć ogarniającemu nas podziwowi dla nadzwyczajnej adekwatności Jego słów i ich zabarwienia w danej sytuacji.

To samo niepowtarzalne piękno i stosowność Jego zachowania znajdziemy w Ewangelii Łukasza 2, gdzie nie występuje w charakterze ani *pouczonego*, ani też nie *pouczającego*, lecz jawi się nam jako uważny słuchacz zadający pytania. Nauczanie w tym momencie nie byłoby właściwe, gdyż był przecież dzieckiem otoczonym przez grono starszych. Pozwolić się *pouczyć* też nie byłoby całkowicie zgodne ze wspaniałym i czystym światłem, które nosił w sobie w pełnej świadomości, ponieważ tylko o Nim możemy powiedzieć, że był *rozumniejszym od wszystkich swoich nauczycieli (...), roztropniejszym od starszych* (Ps. 119,99-100). Nie mówię tu o Nim jako o Bogu, lecz jako o człowieku *pełnym mądrości*, jak nazwany jest w tym fragmencie Ewangelii Łukasza. Lecz On w swej doskonałości i według bogactwa swej łaski wiedział, w jaki sposób korzystać z pełni posiadanej mądrości; dlatego też ewangelista nie przedstawia nam Go pośród tych nauczycieli w świątyni ani jako nauczającego, ani jako pouczanego. Czytamy, że po prostu *śluchał i pytał. A dziecię rosło i nabierało sił, było pełne mądrości, i łaska Boża była nad nim* – w tak krótki i kompaktowy sposób Pismo opisuje Jego młodość. A gdy już jako dorosły mężczyzna stykał się z ludźmi, to Jego mowa zawsze była *łaskawa, zaprawiona solą*, jako mowa człowieka, który doskonale wie, jak odpowiedzieć każdemu. Cóż za niezrównany urok i doskonałość charakteryzowały nieustannie tego męża w różnych etapach Jego

życia, przystrajając wszystkie Jego drogi – zarówno te, na których stawiał swe dziecięce kroki, jak i te, które przemierzał jako dojrzały już mężczyzna.

Pan Jezus przedstawiony jest nam również w wielu innych okolicznościach. Czasami jest lekceważony, pogardzany i znieważany, kiedy indziej bacznie obserwowany, pod pręgierzem nienawiści swych przeciwników, wycofujący się i odchodzący na ustronne miejsce, aby zachować życie przed morderczymi zamiarami tych, którzy na nie nastawali. Czasami widzimy Go w słabości, w otoczeniu tylko najbiedniejszych z ludu; zmęczonego, głodnego i spragnionego. Jeszcze innym razem jawi się nam niczym dłużnik kilku pobożnych kobiet, które służą Mu swymi majątkościami w poczuciu, że to właśnie Jemu wszystko zawdzięczają. Można Go spotkać jako czułego i dobrotliwego dobroczyńcę, który przepelniony współczuciem ze wszelką łagodnością traktuje otaczający Go tłum ludzi. Widzimy Go też, jak towarzyszy uczniom przy posiłkach czy w drodze, rozmawiając z nimi jak zażyły przyjaciel. Innym razem znowuż ukazuje się nam w mocy i godności, czyniąc cuda i odsłaniając tym samym rąbek swej przewyższającej ludzkie wyobrażenia chwały. I chociaż, biorąc pod uwagę Jego stanowisko w tym świecie i okoliczności, w których funkcjonował, musimy stwierdzić, że w tym świecie był nikiem – zwyčajnym, niewykształconym, nieposiadającym grosza przy duszy, ubogim synem cieśli, to jednak sprawił On większe poruszenie między ludźmi – i to także w elitarnych środowiskach władców i możnych – niż jakikolwiek człowiek w całej długiej historii świata.

Dzieciństwo i dorosłość – całe ludzkie życie w swej różnorodności opowiadają nam o Nim. Gdyby tak serce potrafiło Go objąć i pomieścić w swych wąskich kątach i zakamarkach! W niektórych, nawet najbardziej drobiazgowych cechach i okolicznościach możemy dostrzec Jego doskonałość, która wyraźnie świadczy o tym, że została spisana ręką Bożą. Któryż bowiem pisarz, jeśli nie byłby prowadzony i inspirowany Duchem Bożym, potrafiłby ukazać te piękne cechy, wypływające z Jego doskonałej moralności?

W ogrodzie Getsemane Pan prosił swoich uczniów, aby *czuwali z Nim*, lecz nie wzywał ich do tego, aby się *za Nim modlili*. Natomiast oczekiwał od nich współczucia – było ono dla Niego bardzo cenne w tej godzinie słabości i strachu, w której się znalazł, dlatego pragnął, aby serca uczniów były z Nim złączone. To pragnienie pokazuje nam również chwałę świadczącą o Jego doskonałości jako człowieka. Ale chociaż pragnął współczucia ze strony uczniów i o tym im otwarcie powiedział, to jednak nie mógł ich prosić, aby wstawili się za Nim przed Bogiem. Dlatego jak już powiedzieliśmy, prosił ich o to, aby z Nim czuwali, a nie, żeby modlili się *za* Niego. A jeśli krótko po tym połączył czuwanie z modlitwą, to powiedział te słowa ze względu na nich samych i ich dobro: *Czuwajcie i módlcie się, abyście nie popadli w pokuszenie*. Paweł mógł powiedzieć do swych współwierzących: *przy waszym także współdziałaniu przez modlitwę za nas* (2. Kor. 1,11) lub: *Módlcie się za nas; jesteśmy bowiem przekonani, że mamy czyste sumienie* (Hebr. 13,18). Lecz nie takie były słowa Pana

Jezusa i chyba nie trzeba mówić, dlaczego takimi być nie mogły. Pióro, które opisało nam takie życie i taki charakter, było prowadzone przez Ducha Bożego. Nikt inny prócz Ducha nie mógł tego napisać.

Pan Jezus czynił dobro i dawał, nie oczekując odpłaty. Rozdzielał obficie, a Jego lewa ręka nie wiedziała, co czyniła prawa. Nigdy, w żadnej sytuacji, o ile wiem, nie wymagał od tych, których uwolnił i uzdrowił, aby służyli Mu z oddaniem. Jezus miłował, uzdrawiał i zbawiał, nie szukając jakiegokolwiek zysku. Nie dopuścił do tego, aby Gerazeńczyk mieszkający w grobowcach, którego nieczysty duch miał na imię Legion, przy Nim pozostał. Chłopca uzdrowionego u podnóża góry zwrócił ojcu. Córkę Jaira zostawił w kręgu rodzinnym, a syna wdowy z Nain oddał płaczącej matce¹¹. Nikogo z nich nie ubezwłasnowolniał, zawłaszczając dla siebie. Czy Chrystus dawał po to, aby otrzymać coś w zamian? Czyż On, niedościgły Mistrz, nie postępował według swej własnej zasady: *Dobrze czyńcie i pożyczajcie, nie spodziewając się zwrotu* (Ew. Łuk. 6,35)? Nadrzędną cechą łaski jest obdarzanie innych, a nie ubogacanie samego siebie. Pan przyszedł na ziemię, aby właśnie ta łaska mogła promienić od Niego w swym niezgłębnym bogactwie i chwale, które cechowały Jego Osobę. Owszem, znalazł w tym świecie tych, którzy Mu potem służyli, ale nie pozyskał ich przez uzdrowienie, aby następnie czegoś od nich wymagać. Powołał ich i obdarzył różnymi darami. Byli owocami działania Jego Ducha, a serca ich zostały

¹¹ czyt. kolejno: Ew. Łuk. 8,26-56; 7,11-17; (przyp. tłum.)

zdobyte przez Jego miłość. Wysyłając ich, powiedział: *Darmo wzięliście, darmo dawajcie* (Ew. Mat. 10,8). Z pewnością opis charakteru Pana Jezusa przewyższa zdolność ludzkiego pojmowania. Ale jakże pięknym jest, że chwala Pańska jaśniała często w najprostszych formach, które można pojąć jedynie sercem, a nie rozumem!

Z jednej strony widzimy, że Pan Jezus nigdy nie odrzucał nikogo, kto miał bardzo słabą wiarę, natomiast z drugiej strony dostrzegamy, z jaką radością przyjmował ludzi posiadających mocną wiarę. Silna wiara, która zbliżała się do Niego bez zbytecznych ceremonii i niepotrzebnego przeproszania, czyli w bezpośredni sposób, z pełnym przekonaniem i ufnością, była zawsze przez Niego chętnie przyjmowana. Natomiast wstydliva i bojaźliwa dusza, która z wielkim lękiem odważała się do Niego podejść po stoczonej wewnętrznej walce, otrzymywała zachętę i błogosławieństwo. Słowo pochodzące z ust Pana natychmiast uwolniło biednego trędowatego od strasznej choroby, która niczym ciemny obłok wisiała nad jego życiem. *Panie powiedz mi – jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić* (Ew. Łuk. 5,12). – *Chcę, bądź oczyszczony!* – brzmiała odpowiedź Jezusa. Krótko potem mógł wyrażać swoją radość, którą odczuwał w sercu z powodu czystej i nieobłudnej wiary rzymskiego setnika (Ew. Łuk. 7,1-10). Coś podobnego dostrzegamy również wtedy, gdy gorliwa wiara kilku mężczyzn kazała im zdjąć dach domu, w którym przebywał Pan, aby złożyć u Jego stóp chorego przyjaciela.

Gdy przystępowała do Niego osoba o słabej wierze, udzielał błogosławieństwa, którego szukała, lecz także

nie wahał się z udzieleniem jej napomnienia. Jednak nawet te Jego reprimendy niosą dla nas zachętę, ponieważ zawarte jest w nich smutne pytanie: *Dlaczego nie zrobiłeś ze mnie większego użytku, pełniej, z większą radością i śmiałością?* Gdybyśmy tak bardzo cenili Dawcę, jak jego dar, czyli zarówno serce Chrystusa, jak i Jego rękę, to kierowane do naszej słabej wiary napomnienie zostałyby przez nas niezwłocznie przyjęte.

A więc o ile mała wiara była napominana przez Pana Jezusa, to z jakże chętnym powitaniem spotykała się u Niego wiara mocna. Możemy zatem zrozumieć chociaż trochę, jak radosny był to dla Pana widok, gdy wspomniani już przyjaciele sparaliżowanego nie wahali się nawet rozebrać dachu, aby, nie szczędząc wysiłków, wszelkim sposobem dostać się do Niego (Ew. Marka 2)! Możemy być pewni, że widok ten przepełniał najgłębszą radością Boże, szczodre serce Pana Jezusa. Wiara działająca w tych mężczyznach pokrzepiła Go, tak samo jak postawa setnika z Kafarnaum i jego domu.

Przyglądając się naszemu Zbawicielowi, dostrzegamy u Niego zarówno wielkość Jego chwały, jak i głębokość Jego uniżenia. Co więcej, potrzebujemy zajmować się zarówno jednym, jak i drugim. Ten, który siedział zmęczony przy studni w Sychar, jest tym samym, który teraz zasiada na wysokościach w niebie. *Ten, który zstąpił, to ten sam, co i wstąpił wysoko ponad wszystkie niebiosy* (Efez. 4,10). Wielka godność i unizoność są Jego działem – Ten, który siedzi po prawicy Boga, zniżył się, aby umyć nogi swych świętych na ziemi. Cóż za przejmujące połączenie skrajności! Nie porzucał ani

na chwilę należnych Mu zaszczytów, choć zniżył się do naszego ubóstwa, gdyż nie brakowało Mu niczego, co mogłoby być naszym zyskiem, zarówno teraz, jak i w wieczności. On jest tym chwalebny, bez skazy i doskonałym sam w sobie.

Samolubne usposobienie szybko nuży się pod działaniem natarczywego nalegania; czytamy bowiem: *Jeśli nawet nie dlatego wstanie i da mu, że jest jego przyjacielem, to dla natręctwa jego wstanie i da mu, ile potrzebuje* (Ew. Łuk. 11,8). Tak ma się sprawa z człowiekiem i z jego egoizmem, ale inaczej jest z Bogiem i Jego miłością, gdyż Bóg, przedstawiony w swej istocie w Księdze Izajasza 7,10-16, jest dokładnym przeciwieństwem człowieka naszkicowanego w Ewangelii Łukasza 11,5-13.

W rzeczywistości to wcale nie natarczywość uprzykrza się Bogu, lecz niewiara, która nie chce zwrócić się do Niego i wzbrania się prosić Go o błogosławieństwo. Jest przeciwieństwem wiary, która trwa uporczywie w swej prośbie, jak oglądamy to właśnie w tym fragmencie Ewangelii Łukasza 11. I cała ta Boża wspaniałość i doskonałość, które widzimy w działaniu starotestamentowego Boga Jahwe w Księdze Izajasza 7, pojawiają się po raz wtóry na scenie wraz z przyjściem samego Pana Jezusa Chrystusa. Ukazują się one w Jego odmiennym podejściu do słabej i mocnej wiary. Wszystkie te aspekty świadczą niezbitnie o Jego doskonałości, którą sami pojmujemy i osiągamy w tak niewielkim stopniu!

Każdy z nas przytaknie zapewne z przekonaniem, że współtowarzysze naszej pielgrzymki wystawiają nas

swym zachowaniem częstokroć na próbę. Nie ulega wątpliwości, że również i my ćwiczymy niejednokrotnie ich cierpliwość. Widzimy lub niekiedy uroimy sobie w nich pewne złe cechy i wielką trudność przysparza nam kroczenie dalej u ich boku wspólną ścieżką wiary, posiadanie z nimi społeczności i przebywanie w ich towarzystwie. A jednak jak często w tym wszystkim wina leży co najmniej po części, o ile nie w całości, po naszej stronie, bo uważamy coś za złe jedynie dlatego, że nie odpowiada naszemu spojrzeniu, wyobrażeniu czy zdaniu.

W przypadku Pana Jezusa możliwość takiej pomyłki była wykluczona, gdyż wina nie mogła spoczywać nigdy po Jego stronie. Mimo to On nigdy nie dawał się zwyciężyć złu, lecz zawsze zwyciężał je dobrem (Rzym. 12,21). Zło i uchybienia, które były obecne w otaczających go ludziach, pokonywał dobrem, które miało źródło w Nim samym. Ludzka próżność, zarozumiałość, zły nastrój, obojętność wobec innych, troska o samego siebie i swoje własne korzyści, wciąż przejawiająca się duchowa niewiedza i niezrozumienie mimo wszelkich licznych starań, które Pan podejmował, aby ich pouczyć – to tylko niektóre z tych duchowych wyzwań, którym dzień w dzień musiał stawiać czoła. Były to okoliczności, które stale musiał znosić – Jego „chleb codzienny” podczas życia na tej ziemi. Okres Jego ziemskiej wędrówki można byłoby określić mianem „dnia prowokacji” – było to wystawianie Boga na próbę bliźniaczo podobne do czterdziestu lat wędrówki Izraela na pustyni, o których to czytamy, iż Izraelici wystawiali Pana, Boga swego, na próbę, kusząc Go (czyt. 2. Mojż. 17,7). Kie-

dy Pan Jezus był na tej ziemi, historia powtórzyła się: Izrael kusił Pana, ale czyniąc tak, dowodził tylko, kim i jakim był On w swej istocie. Ileż radości dostarcza to odkrycie: otaczający Go ludzie prowokowali Go i kusili haniebnie swoją postawą, lecz w ten sposób objawiało się jedynie, kim On rzeczywiście był. Zadawane Mu z ich strony cierpienie przyjmował cierpliwie i nigdy ich nie zaniechał. Ostrzegał i uczył, ganił i potępiał, ale nigdy nie porzucił ich w rezygnacji i poczuciu bezsensowności podejmowanego trudu. Wręcz przeciwnie, pod koniec ich wspólnej drogi, był bliżej nich niż kiedykolwiek wcześniej.

Ileż pociechy kryje w sobie dla nas ta doskonałość Pana, cechująca wszystkie Jego drogi! Działanie Pana, mające na celu osiągnięcie naszych sumień, nigdy nie narusza Jego serca, jakie ma do nas. Niczego nie tracimy przez Jego nagany i reprimendy. On nie odwraca nigdy od nas swego serca, nawet gdy musi sięgnąć po ostre środki działania wobec naszego sumienia, bo, chcąc je poruszyć, czeka tylko na chwilę, w której będzie mógł przywrócić wreszcie nasze dusze do zdrowego stanu radosnej z Nim społeczności i wypuścić – pozwólcie, że się tak wyrażę – nasze sumienie z Jego ciężkiej szkoły. Wówczas to serce może na powrót czuć się swobodnie i szczęśliwie w Jego obecności.

Kontynuując nasze rozważania, chciałbym też zaznaczyć, że w zróżnicowanym charakterze, w którym występował Pan Jezus w różnych momentach swojej służby na ziemi (mógł to być charakter, który przybrał na jedną tylko okazję i porzucił już po krótkiej chwili),

zawsze widzimy tę samą doskonałość i chwałę, które zdobiły Jego codzienną ścieżkę, po której zwykle kroczył. Zwróćmy się na chwilę ku 23. rozdziałowi Ewangelii Mateusza, gdzie ukazany jest nam w roli sędziego, czy w poprzednim rozdziale jako orędownik. Chciałbym nadmienić to jedynie przy okazji, gdyż temat jest zbyt obszerny, aby rozważyć go tu w detalach. Każdy krok, słowo, gest, emanuje blaskiem promiennej chwały i wspaniałości, a Bóg, patrząc na życie Pana Jezusa, bardziej się nim radował niż w stanie niewinności Adama, nawet, gdyby ten trwał wiecznie. Pan Jezus otoczony był zewsząd duchową ruiną, zgliszczami upadłej ludzkiej moralności i to właśnie z takiego otoczenia, w jakim funkcjonował jako człowiek, wznosiła się ku tronowi Bożemu wspanialsza ofiara o miłej woni niż kiedykolwiek mogłaby się unieść z Edenu, jakiej Adam nie mógłby nigdy oddać Bogu, choćby i pozostał w swym pierwotnym nieskazitelnym stanie.

Wciąż ten sam po swoim zmartwychwstaniu

Czas nie miał wpływu na Pana. Bliźniaczo podobne, pokrewne sobie przejawy Jego łaski i charakteru zarówno przed, jak i po zmartwychwstaniu, unaoczniają nam tę tak ważną dla nas prawdę. Wiedząc, jakim był do-tychczas, możemy wiedzieć, kim jest w tej chwili i jakim będzie po wieczność – w swoim charakterze, w swojej naturze czy w stosunku wobec nas. Słowo Boże mówi nam: „**Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam i na wieki**” (Hebr. 13,8). Już samo przypomnienie tej prawdy jest

dla nas drogocenne. Czasami możemy być zmartwieni zachodzącymi zmianami, kiedy indziej ich brakiem. Na różne sposoby doświadczamy niestałości i niepewnej natury tego wszystkiego, co wypełnia nasze życie. Nie tylko same okoliczności w codziennym życiu, lecz także relacje międzyludzkie, przyjaźnie, uczucia i charaktery nieustannie ulegają zmianom, które nas zaskakują i niejednokrotnie głęboko smucą. Nasza sytuacja życiowa się zmienia, lecz rzadko kiedy zabieramy ze sobą niechłodną uczucia i nieskazitelne zasady postępowania, czy to w nas samych, czy w towarzyszach naszej życiowej podróży. Ale Pan Jezus był taki sam po swym zmartwychwstaniu, jak i przed, pomimo tego, że ostatnie wydarzenia przed Jego śmiercią spowodowały oddalenie się uczniów od Niego na odległość znacznie większą niż dystans, jaki może zwykle podzielić okresowo przyjaciel. Dla ich relacji był to silniejszy cios niż uderzenie, jakiego doznają czasem przyjaźnie, gdyż uczniowie okazali się niewierni, opuszczając swego Pana w godzinie Jego słabości, uciekając od Niego, gdy znajdował się w najgłębszej potrzebie – gdy dla Nich przechodził przez śmierć, jakiej żaden człowiek nie byłby w stanie udźwignąć, gdyż zmiądzzyłaby każdą inną ludzką istotę. Oni sami byli tylko biednymi, słabymi, ach! – jakże słabymi Galilejczykami – On zaś został ukoronowany wszelką mocą, chwałą i cziłą w niebie i na ziemi.

Jednak te wszystkie wydarzenia nie odbiły się w żaden sposób na relacji Pana Jezusa z uczniami. *Ani wysokość, ani głębokość, ani żadne inne stworzenie*, jak pisze apostoł Paweł w Liście do Rzymian – nic nie mogło zmienić

stosunku Pana do Jego umiłowanych uczniów. Miłość przeciwstawiła się każdej z tych przeszkód i Pan powraca do swoich jako ten sam Jezus, którego znali wcześniej. Jest ich wiernym towarzyszem w pracy po swym zmartwychwstaniu, ba! – nawet po wniebowstąpieniu, dokładnie tak samo jak był nim podczas swej służby i pielgrzymowania z nimi na tej ziemi. Dowiadujemy się tego z ostatniego wiersza Ewangelii Marka. Będąc na morzu, uczniowie sądzili, że widzą ducha (Ew. Mat. 14) i krzyknęli ze strachu, lecz Pan dał im do zrozumienia, że to On sam przyszedł do nich – wciąż ten sam bliski, zawsze pełen łaski, choć także suwerenny w swej Boskiej mocy nad naturą. Podobnym oglądamy Go w 24. rozdziale Ewangelii Łukasza, kiedy po swoim zmartwychwstaniu bierze plaster miodu i rybę, a następnie spożywa je na ich oczach, aby z tą samą niezachwianą pewnością i pokojem w sercu mogli przekonać się, że to On sam jest przy nich. Wzywał ich, aby Go dotykali i oglądali, mówiąc, że duch nie posiada ciała ani kości, jak On je miał, o czym sami mogli się naocznie przekonać.

W Ewangelii Jana 3, rozmawiając z rabbim (nauczycielem w Izraelu), który był gnuśnego serca, wprowadził go do światłości i na drogę prawdy, znosząc go z całą cierpliwością łaski. Tak samo postąpił po swym zmartwychwstaniu w Ewangelii Łukasza 24 z dwoma uczniami o podobnie gnuśnym sercu, którzy szli do swego domu w Emaus. W Ewangelii Marka 4, zanim słusznie zgromił obecną w sercach uczniów niewiarę, rozwiął ich obawy i ukoił ich nękanie strachem serca. Zanim jeszcze zwrócił się do nich w karcących słowach:

„*Jakże to, jeszcze wiary nie macie?*”, rozkazał szalejącym wiatrom i falom: *Umilknij! Ucisz się!* Dokładnie tak samo postąpił po swym zmartwychwstaniu w Ewangelii Jana 21. Widzimy Go bowiem, jak zasiada wraz z Piotrem do wspólnego posiłku w doskonałej harmonii i swobodnej, niezakłóconej społeczności, tak jakby uczeń ten nigdy go nie zawiódł, a dopiero później zadaje mu pytania z zamiarem pobudzenia jego sumienia: *Szymonie, synu Jana, miłujesz mnie?*

Przy opisie spotkania zmartwychwstałego Pana z Marią Magdaleną ewangelista skrupulatnie podkreśla, że był On tym, który wcześniej wypędził z niej siedem demonów – zaś ona sama dobrze znała brzmienie głosu, który zawołał ją po imieniu i rozpoznała go natychmiast. Jakaż zadziwiająca tożsamość pomiędzy uniżonym Jezusem a uwielbionym Chrystusem w chwale, Zbawicielem grzeszników a Panem przyszłego świata! Czyż nie dostrzegamy, jak wszystko jednoczy się, aby zaświadczyć o tym niezaprzeczalnym fakcie, że *Ten, który zstąpił, jest tym samym, który wstąpił?* Również przebywający w towarzystwie zmartwychwstałego Pana Jan przedstawiony jest jako ten, który niegdyś wspierał się o pierś Jezusa (Ew. Jana 21,20). *Ja jestem Jezus*, brzmiała odpowiedź Pana pochodząca z najbardziej wzniosłego miejsca w niebie, z prawicy tronu majestatu na zapytanie Saula z Tarsu: *Kto jesteś, Panie?* (Dz. Ap. 9). To wszystko stanowi całkowicie indywidualne przesłanie, skierowane osobiście do każdego z nas.

Piotr dokonał zupełnie osobistego odkrycia, że jego Mistrz, zarówno przed, jak i po zmartwychwstaniu, jest

wobec Niego ten sam. W sytuacji opisanej w Ewangelii Mateusza 16 Pan skarcił go surowo, lecz już krótko później zabrał ze sobą na Górę Przemienienia w pełnej swobodzie serca, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Tego samego Piotra spotykamy ponownie w 21. rozdziale Ewangelii Jana. Znowu zajmuje się, jak to u niego w zwyczaju, tym, co go nie dotyczy i miesza w nieswoje sprawy, na które nie ma żadnego wpływu i których rozstrzygnięcie w ogóle do niego nie należy. Wskazując znacząco na Jana, pyta: *Panie, a co z tym?*, pobudzając po raz kolejny swego Mistrza do udzielenia mu jednoznacznej nagany: *Co ci do tego?* Lecz pomimo tego dość ostro brzmiącego napomnienia Pan pozwala na to, żeby Piotr dalej podążał za Nim wraz z Janem i znalazł się w gronie świadków Jego wniebowstąpienia. To właśnie dopiero co skarcony Piotr udał się niegdyś z Panem na świętą górę i ten sam świeżo napomniany Piotr towarzyszy Mu, gdy odchodzi do nieba, jak gdyby po raz drugi wchodził na Górę Przemienienia.

Jakież wspaniałe pocieszenie zawarte jest dla nas w tych słowach! To jest właśnie Jezus, nasz Pan, *wczoraj i dziś, ten sam i na wieki*. Taki sam w dniach służby oraz po swym zmartwychwstaniu – ten sam i dziś w niebiosach, do których wstąpił, a także ten sam po całą wieczność. I tak, jak po swym zmartwychwstaniu ukazał się w tym samym charakterze i tej samej niezmiennej łasce, jakie objawiał nieustannie w dniach swej służby, tak też możemy powiedzieć bez cienia jakiegokolwiek wątpliwości, że wypełni wszystkie obietnice dane swym uczniom, a wraz z nimi także i nam.

Nie bójcie się! – te słowa pocieszenia pochodzące z ust samego Pana Jezusa czy też z ust Jego aniołów, są dzisiaj aktualne tak samo jak niegdyś – zarówno po zmartwychwstaniu Pana, jak też i przed Jego męką (zob. Ew. Mat. 14,27; Ew. Mar. 5,36; Ew. Łuk. 5,10). Na krótko przed swoją śmiercią mówił uczniom o pokoju, który im udzieli. I rzeczywiście – On, który zawsze stoi przy swym słowie, czyni to po swym zmartwychwstaniu w najwspanialszy sposób. Wypowiadając te cudowne słowa: *Pokój wam* (Ew. Jana 20,20-26), ukazuje im swoje ręce i bok, na których, mówiąc obrazowo, uczniowie mogą wyczytać wyryte upoważnienie do tego pokoju, który On sam wywalczył dla nich, nabył i przypieczętował. To był Jego pokój, w każdym calu Jego własny, a odtąd miał stać się na zawsze również ich udziałem i całkowicie osobistą własnością dzięki zawsze aktualnemu, niezmiennemu pełnomocnictwu.

Niegdyś Pan Jezus powiedział do swoich uczniów: *...bo Ja żyję i wy żyć będziecie* (Ew. Jana 14,19). Natomiast teraz, w swych zmartwychwstałych dniach, w dniach zmartwychwstałego Człowieka w posiadaniu zwycięskiego życia, udziela im tego życia, które jest ponad śmiercią, w jego najpełniejszej mierze. Tchnąwszy na nich, mówi: *Weźmijcie Ducha Świętego* (Ew. Jana 20,22)¹².

¹² Wydarzenie to poprzedzało dzień Zielonych Świąt, w którym to Duch Święty zstąpił na ziemię na wszystkich wierzących jako ta *obietnica Ojca*, chrzcząc ich w jedno duchowe ciało, Zgromadzenie Boże (Dz. Ap. 2; 1. Kor. 12,13; przyp. tłum.).

Świat miał Go odtąd już nie oglądać, jak to Pan Jezus zresztą przepowiedział uczniom, ale oni, oni sami, mieli Go widzieć. I tak też się stało, bo oglądali Go przecież przez czterdzieści dni, a On mówił im o *Królestwie Bożym* (Dz. Ap. 1). Wszystko to działo się jednak w ukryciu przed oczyma tego świata. Świat nie widział Go od godziny Golgoty i nie będzie oglądał aż do momentu, gdy ujrzy Go w ów straszny dzień sądu.

Jako prostszy dowód na to, że pozostaje wierny wszystkim swoim obietnicom wobec swych uczniów, Jezus wychodzi im na spotkanie w Galilei, tak, jak im obiecał. Posyłając im poselstwo: *Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego, do Boga mego i Boga waszego* (Ew. Jana 20,17), dowodzi, że bez względu na to, czy obiecał im swoją obecność tu, na ziemi, czy tam, w niebie, jest i będzie wierny wszystkim swoim zapowiedziom. Z całą pewnością rozmyślanie o Jego pokornym, doskonałym, autentycznym i wzniosłym postępowaniu na tej ziemi niesie dla nas niezgłębioną korzyść.

Pan Jezus wiele musiał pracować nad Piotrem, więcej niż nad jakimkolwiek innym uczniem – zarówno, dopóki przebywał wśród nich na ziemi, jak i po swoim zmartwychwstaniu, gdyż w zasadzie cały ostatni rozdział Ewangelii Jana jest kontynuacją historii Piotra i działania Pana wobec Niego. Po swym zmartwychwstaniu Pan Jezus kontynuuje swoje dzieło łaski wobec Piotra, które rozpoczął, zanim go opuścił oraz, co ważne, podejmuje je dokładnie w tym samym miejscu, w którym je pozostawił. Piotr bowiem wyraźnie pokładał ufność w sobie samym. Potwierdzają nam to

jego własne słowa: *Choćby się wszyscy zgorszyli z ciebie – powiedział kiedyś – ja się nigdy nie zgorszę (...). Choćbym miał z tobą umrzeć, nie zaprę się ciebie* (Ew. Mat. 26,33.35). Już wtedy Pan Jezus próbował uświadomić swemu uczniowi, jak próżne i zuchwałe były te słowa, pozostawiając mu jednocześnie cudowną obietnicę, że będzie się za niego modlił, aby jego wiara nie ustała. A gdy nadszedł ów moment, w którym czczość przechwałek Piotra w pełni wyszła na jaw i uczeń zaparł się swego Pana, zaprzysięgając gorąco, że nie zna Go i nie ma z Nim nic wspólnego, Pan Jezus spojrział wymownie na Piotra. Spojrzenie to przyniosło błogosławiony skutek. Modlitwa i spojrzenie Pana odniosły pożądany efekt – modlitwa zachowała jego wiarę od upadku, zaś spojrzenie całkowicie złamało jego serce. Piotr nie *poszedł na miejsce swoje* jak Judasz, lecz zapłakał, i to nawet *gorzko zapłakał* (Ew. Łuk. 22,62).

Na początku Ewangelii Jana 21 znajdujemy Piotra dokładnie w tym stanie, tzn. w kondycji będącej bezpośrednim skutkiem wcześniejszej modlitwy (Ew. Łuk. 22,32) oraz spojrzenia Pana (w. 61) jeszcze przed Jego śmiercią. Oglądamy tu radosne potwierdzenie faktu, że wiara ucznia nie ustała – gdy tylko uszu jego dochodzą słowa *Pan jest*, natychmiast śpieszy Jemu naprzeciw. Uświadomiwszy sobie, że stojącym na brzegu jest jego umiłowany Pan, rzuca się bez chwili namysłu i ociągania w wodę – ale już nie w poczuciu winy jako pokutnik, lecz jako ten, który ze spokojem serca i ufnością może zjawić się przed Panem Jezusem, jakby zapomniał już dawno, że dopiero co musiał gorzko płakać. Właśnie

takim przyjmuje go jego łaskawy Pan. Wspólnie spożywają posiłek nad brzegiem jeziora. Modlitwa i spojrzenie Pana dokonały skutecznie swego dzieła w sercu Piotra i już nie musiały być powtarzane po raz drugi. Pan Jezus kontynuuje po prostu rozpoczętą uprzednio pracę nad swym uczniem, aby doprowadzić ją do doskonałego końca. Tak więc wypowiedziane w tym miejscu przez Pana Jezusa słowa są kolejnym krokiem na drodze do całkowitej duchowej odnowy Piotra. Zostawszy dogłębnie przekonany o swojej winie, czemu dał wyraz w swych szczerych, gorzkich łzach, może odzyskać niezakłóconą społeczność z Panem. Już nic nie stoi pomiędzy nimi jako nieznośna, nieprzewycięzalna bariera. Pan całkowicie wydzwignął swego ucznia z głębokiego duchowego dołu, w który się pogrążył, wynosząc go na wzniosłą pozycję tego, który miał umacniać swoich braci. Jednocześnie zostaje mu nadany przywilej, który utracił uprzednio poprzez zaparcie się i swoją niewiarę – przywilej uwielbienia Boga przez swą śmierć.

Ta rozmowa Pana Jezusa z Piotrem, będąca kontynuacją dzieła zapoczątkowanego w nim poprzez modlitwę, której moc podtrzymała wiarę ucznia i wymowne spojrzenie, które złamało pychę i samowolę obecne w jego sercu, okazała się być doskonałym lekarstwem, które zadecydowało o całkowitej duchowej odnowie i rehabilitacji ucznia. Niegdyś, w ów pamiętny dzień, który opisuje nam Jan w 13. rozdziale, Pan Jezus nauczył swojego ucznia, którego darzył głęboką miłością, ważnej lekcji, że kto jest umyty, czysty jest cały i nie ma potrzeby się myć, za wyjątkiem nóg. Zgodnie z tym

Bożym pouczeniem postępuje Pan teraz z Piotrem, nie każąc mu przechodzić ponownie przez duchowy proces z Ewangelii Łukasza 5, kiedy to jego nieudany połów ryb i kolejny – nader obfity, na który udał się na słowo Pana, napełniły Piotra zdumieniem i zaowocowały rozpoznaniem smutnego faktu, że jest zgubionym grzesznikiem. Teraz, nad Morzem Tyberiadzkim, Pan Jezus obmywa brudne stopy Piotra i przywraca do stanu radosnej z Nim społeczności, wprowadzając z powrotem na przystojące mu stanowisko (Ew. Jana 21,15-17).

Doskonały, niedościgły Mistrz! – ten sam wczoraj, dzisiaj i na wieki. Zawsze ten sam w swej niewyczerpalnej łasce, doskonałej, nigdy niegasnącej miłości powraca do rozpoczętego niegdyś dzieła, podejmując już jako zmartwychwstały Pan na nowo tę służbę, której nie ukończył, gdyż wyrwano Go w trakcie jej wykonywania z krainy żyjących – a wszystko to czyni dokładnie w tym samym punkcie, w którym została przerwana, łącząc z godną podziwu zręcznością swą poprzednią służbę z tą obecną, którą kontynuuje w swej niepojętej łasce.

Nieco dalej widzimy, jak Pan Jezus wypełnia swoje przyrzeczenia. Mam tu na myśli tę szczególną obietnicę, którą dał swym uczniom po zmartwychwstaniu, a którą nazwał *obietnicą Ojca i mocą z wysokości*. Pozostawiona uczniom w Ewangelii Łukasza 24, wypełniła się w Dziejach Apostolskich 2 po Jego wniebowstąpieniu i otrzymaniu należnego Mu miejsca w chwale. Niewątpliwie jest to kontynuacja i kolejne potwierdzenie Jego nieustającej wierności. Każda minuta Jego życia na tej

ziemi przed dokonaniem na krzyżu dziełem, Jego relacje z uczniami po zmartwychwstaniu, a także to, czego dokonał od chwili wstąpienia do nieba, są dobitnym dowodem na to, że *u Niego nie ma żadnej odmiany ani nawet chwilowego zaćmienia* (Jak. 1,17).

Kolejny przykład Jego godnej podziwu wierności, którego nie chciałbym pominąć, znajdujemy w Ewangelii Łukasza 24. Zmartwychwstały Pan podejmuje rozmowę z uczniami dokładnie w tym punkcie, w którym przerwał swoje ostatnie pouczenia skierowane do nich: *To są słowa, które mówiłem do was, będąc jeszcze z wami, że się musi spełnić wszystko, co jest napisane o mnie w zakonie Mojżesza i u proroków, i w Psalmach* (w. 44). Przypomina im w ten sposób o tym, co już wcześniej powiedział, a mianowicie, że Pismo jest wielkim świadectwem Bożych zamysłów i że wszystko, co zostało w nim zapisane, musi się wypełnić. A jak wygląda Jego kolejny krok? – Otóż w prosty, naturalny sposób kontynuuje swoje wcześniejsze pouczenia, gdyż czytamy dalej: *Wtedy otworzył im umysły, aby mogli zrozumieć Pisma*. Jego łaska okazuje się w tym, że Jego wcześniejsze słowa stają się w tym momencie wreszcie zrozumiałe dla uczniów. Ku naszej wielkiej pociesze i zachęce dodam jeszcze, że Pan Jezus nigdy po swoim zmartwychwstaniu nie wypominał im tego bolesnego dla Niego doświadczenia, gdy opuścili Go podczas godziny cierpienia i trwogi.

Ale nie tylko po tym można dostrzec, że sposób obchodzenia się Pana ze swymi uczniami podczas tych czterdziestu dni i duch, w jakim wychodził im naprze-

ciw, były wciąż te same i nie przejawiały choćby cienia jakiegokolwiek zmiany. Tak więc widzimy na przykład, że nazywa ich po imieniu, jak zwykł czynić to wcześniej. Objawia się im przy użyciu takich samych metod co przed śmiercią. Zarówno przed jak i po zmartwychwstaniu zajmuje miejsce przy stole jak gospodarz, chociaż został zaproszony jako gość (por. Ew. Jana 2; Ew. Łuk. 24). Powróciwszy do swego Pana oczekującego ich przybycia przy studni w Sychar (Ew. Jana 4), uczniowie bali się Mu przeszkadzać i milcząc, usunęli się na bok. Podobnie zachowali się, gdy przyszli do Niego po połowie ryb (Ew. Jana 21) – przystąpili ostrożnie, odczuwając wyraźnie, że nie był to odpowiedni moment na wypowiedanie zbyt wielu słów, chociaż w rzeczywistości serca ich przepełnione były głęboką radością i niemym podziwem.

Ileż zatem więzów, tak łagodnych, a jednak tak mocnych, łączy Tego – którego znaleźliśmy wcześniej z codziennych okoliczności ludzkiego życia – z tym samym Panem, który jawi nam się jednak w innym charakterze, w jakim będziemy znać Go po wieczność! Jezus zstąpił najpierw do naszego naturalnego otoczenia, aby zabrać nas potem do swojego. Jednakże to właśnie w naszych ludzkich okolicznościach mogliśmy Go poznać, i to raz i na zawsze. Jest to bardzo radosna, drogocenna prawda, o której świadectwo składa nam Piotr. Zastanawialiśmy się już nad tą sceną z nieco innego punktu widzenia, ale chciejmy spojrzeć na nią raz jeszcze.

Podczas tego niezwykłego połowu ryb w Ewangelii Łukasza 5, czyli przed zmartwychwstaniem, Piotr zyskał

głębokie wewnętrzne przekonanie o swojej grzeszności. *Rybak Piotr* stał się zupełnie nagle i niespodziewanie w swych własnych oczach *Piotrem grzesznikiem*. *Odejdź ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny*, powiedział wtedy do Pana (Ew. Łuk. 5,8). Ten niesamowity połów ryb udowodnił, że obcy, który prosił o wypożyczenie jego łodzi, był Panem morza i jego głębin. Sytuacja ta spowodowała, że Piotr znalazł się, w duchu, w obecności świętego Boga i poznał siebie samego. Doprawdy, jest to jedyne miejsce, w którym możemy nauczyć się tej gorzkiej, a jednak jakże niezbędnej lekcji. Lecz Pan w tamtym momencie, jakoby z chwały, rzekł do niego słowa pociechy: *Nie bój się*, które natychmiast przyniosły Piotrowi duchowe ukojenie. Chwała, jak i obecność Boża, czy też świętość, które przekonały go o jego grzeszności, stały się dla niego miejscem, które przyniosło mu stały spoczynek. W pełni wypływającego z tego miejsca spoczynku Piotr mógł iść teraz za Panem. Z tego też względu przy drugim połowie ryb (Ew. Jana 21), czyli już po zmartwychwstaniu Pana, Piotr nadal posiadał tę samą ufność i pokój, które zagościły w jego sercu podczas pierwszego połowu i nie musiał się lękać i trwożyć. Czego teraz potrzebował, to jedynie urzeczywistnienia wskazania otrzymane podczas pierwszego spotkania. Tak też czyni. Doświadcza przy ty, że obecność Pana chwały jest dla niego domostwem.

Piotr udowadnia i poświadcza na swoim własnym przykładzie, że to, czego nauczył się o Jezusie, nauczył się na zawsze. W pierwszej chwili nie rozpoznał, że stojący na brzegu „obcy przybysz” jest Panem Jezusem,

lecz gdy Jan odsłonił przed nim ten fakt, ów „obcy” zmienił się natychmiast w Kogoś, u kogo boku chciał się jak najszybciej znaleźć. Zaraz pośpieszył Mu na spotkanie. Jakież pocieszenie niesie ze sobą świadomość, że Pan Jezus jest wciąż ten sam – tutaj i tam, czy w naszym świecie, czy też w swym własnym, w naszych zrujnowanych moralnie przez grzech warunkach, czy otoczony chwałą i niebiańską wspaniałością, gdzie teraz przebywa! Jakąż radością jest to, kiedy tak, jak Piotr, możemy doświadczyć w duchu błogosławieństwa wypływającego z faktu, że Pan Jezus przebywający w niebie jest dokładnie taki sam, jakim był niegdyś na tej ziemi!

Tak, Pan Jezus rzeczywiście jest ten sam – On jest ten *Wierny i Prawdziwy* (Obj. 19,11). Wszystkie obietnice, które dał swoim uczniom przed Golgotą, wypełnił co do joty po swoim zmartwychwstaniu. Wszelkie cechy charakteru, jakie przejawiał, przebywając pośród uczniów, zachował bez cienia jakiegokolwiek zmiany do teraz.

Jeśli nadarzała się okazja, Pan Jezus wyrażał swoje uznanie czy pochwałę wobec kogoś, lecz sam rzadko otrzymywał cokolwiek w zamian. Czynił to chętnie, jeśli znalazł z kimś choć niewielką wspólnotę duchową, duchowe porozumienie. To wszystko jeszcze bardziej unaocznia nam Jego dobroć. Na Jego drodze życia nie było właściwie niczego, co mogłoby pobudzać Go do okazywania dobroci, a jednak wciąż udzielał jej innym. Był jak sam Bóg Ojciec w niebie, o którym powiedział: *Słońce jego wschodzi nad złymi i dobrymi, i deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych* (Ew. Mat. 5,45).

Słowa te możemy odnieść do naszego Pana, będącego nieustannie odbiciem istoty Boga. Składają one cudowne świadectwo o tym, jakim On jest – ku Jego chwale; mówią o tym, jakimi my sami jesteśmy – ku naszemu głębokiemu zawstydzeniu.

Pan Jezus był na tej ziemi nie tylko doskonałym odzwierciedleniem Ojca w niebie, czyli Jego wiernym odbiciem i obrazem we wszystkich swych poczynaniach, lecz był w tym świecie także jako *nieznany Bóg*, o którym mówi apostoł Paweł (Dz. Ap. 17,23). Ciemność tego świata nie była w stanie Go objąć, zaś świat nie poznał Go ani przez swoją religię, ani przez swoją rzekomą mądrość. Nadzwyczajne bogactwo Jego łaski, nieskazitelność Jego Królestwa, Jego autorytet, na którym jedynie mogła być ugruntowana Jego chwała, którą objawiał w tym świecie – wszystko to było ludziom całkowicie obce. Uwidaczniało się to, w głębokich moralnych uchybieniach, jakie nieustannie popełniano w Jego obecności. Gdy tłumy pozdrowiały Pana Jezusa jako króla i witały nadchodzące w Jego Osobie Królestwo (Ew. Łuk. 19), faryzeusze zwrócili się do Niego: *Nauczycielu, zgrom uczeń swoich* (w. 39). Nie mogli znieść tej myśli, że tron Królestwa miałby należeć do kogoś takiego, jak Pan Jezus. W ich oczach było to nie lada zuchwałością, aby ktoś taki, jak ów Jezus Naza-reński, pozwalał tłumom na składanie sobie takiego hołdu i przyjmował królewskie zaszczyty. Faryzeusze nie poznali tajemnicy Jego prawdziwej wielkości w tym fałszywym, upadłym świecie. Oni nie pojęli też tajemnicy *korzenia z suchej ziemi* ani nie dostrzegli *ramienia*

Pana (Izaj. 53). Tylko tam, gdzie Duch Pański kieruje sercami, możliwe jest odkrywanie i zgłębianie Jego osoby. Odkrycia takie są zawsze drogocenne, a zarazem różnorodne.

W 1. rozdziale Ewangelii Marka widzimy wielu korzystających z Jego służby, pełnej mocy i łaski. Schodzą się do Niego ludzie nękani chorobami wszelkiego rodzaju. Tłumy słuchają Go uważnie i uznają autorytet, w którym przemawia. Trędowaty przychodzi do Niego ze swoją chorobą, w czym pokazuje, iż uznaje Go jako Boga Izraela (Ew. Mat. 8,1-4; por. 2. Król. 5,6-7). Ludzie posiadali w zróżnicowanym stopniu pewną znajomość Jego Osoby – jedni wiedzieli, kim był, inni, co posiadał, ale, zaglądając do 2. rozdziału tej samej Ewangelii, widzimy poznanie Jego osoby, które zostało wyrażone we wspanialszy sposób, bogatszy, pełen promiennego blasku. Oglądamy tam namiastkę wiary, która posiadała duchowe zrozumienie dla Jego Osoby i jej nieograniczonej wzniosłości, a jest to niewątpliwie coś o wiele głębszego.

Grupka przyjaciół z Kafarnaum, którzy przynieśli do Pana swego sparaliżowanego towarzysza, rozumiała, kim On jest, i okazała, że potrafi zrobić użytek z tego poznania. Ludzie ci zrozumieli, jakim był Jego charakter, postępowanie, sposób bycia i myślenie. Już sam sposób, w jaki do Niego dotarli, zdradza nam tę właśnie rzadko spotykaną, niebywałą znajomość Jego Osoby. Nie przybyli do Niego z poczuciem dystansu, z sercami przepełnionymi niepewnością i wątpliwościami czy wstydliwym wahaniem. Ich postawa przypomina raczej

Jakuba i jego dobrze znane słowa: *Nie puszczę cię, dopóki mi nie błogosławisz* (1. Mojż. 32,26). Jakąż radość sprawia takie duchowe nastawienie Temu, który jest miłością – a, jak wiemy, miłość zawsze pragnie dawać i szuka tylko tych, którzy gotowi byłiby ją przyjąć. Nie pytają o pozwolenie na to, co robią, nie proszą o wpuszczenie, nie manifestują się ze swoją potrzebą, lecz całkiem po prostu rozbierają dach domu, aby dostać się do Niego za wszelką cenę. Każdy podejmowany przez nich krok świadczy niezbicie o tym, że ludzie ci znali Pana, wiedzieli, iż mogą na Niego liczyć i posiadali głębokie wewnętrzne przekonanie, że się na Nim nie zawiodą. Wiedzieli, że Jego największą radością było spotkanie potrzebujących, którzy potrafili zaufać Jego łasce i bez oporów zawierzyć wszystko Jego mocy. Nieco później widzimy Lewiego, który postąpił podobnie. Urządził w swoim domu wystawną wieczerzę, sadzając celników i grzeszników u jednego stołu z Panem Jezusem, w bezpośredniej bliskości Jego świętej Osoby. Ten odważny, śmiały czyn mówi o tym, że Lewi znał swojego gościa. Wiedział dobrze, kogo podejmował w swym domu, podobnie jak apostoł Paweł, który wyraził to w słowach: *Wiem, komu zawierzyłem* (2. Tym. 1,12).

Jakież błogosławieństwo kryje się w takiej znajomości Pana! Może być ona zaszczipiona w duszy oświeconego Boskim światłem człowieka wyłącznie przez samego Boga. Ciało i krew, czyli nasza ludzka natura, nie są w stanie dać nam takiego poznania. Rodzeni bracia Pana Jezusa nie poznali Go – gdy rozpoczął publiczną służbę, twierdzili, że odszedł od zmysłów (Ew. Marka

3,21). Jednakże prawdziwa, szczerą wiarą jest zdolna do najbardziej zdumiewających odkryć, które jest w stanie czynić i które stają się wyznacznikiem podejmowanych przez nią działań. Czasem może nawet stwarzać pozór przekraczającej pewne zdrowe granice i zaprzeczać zwykłemu, ustalonemu biegowi rzeczy; może wydawać się nawet nierozsądną i szaloną – ale w Bożej ocenie taką nie jest. Lud kazał Bartymeuszowi zamknąć usta, ale on nie mógł milczeć, gdyż poznał Jezusa takim, jakim był, jest i będzie – jakim poznał Go niegdyś Lewi (Ew. Marka 10).

Pełnia tego, co Pan Jezus czyni, przekracza naszą zdolność pojmowania, a przecież to właśnie w blasku tej pełni widzimy doskonałość Jego działania i Jego chwałę. Zbawiciel odpowiada na nasze potrzeby, ale jednocześnie wnosi w nie Boga. Zauważmy, że Pan nie tylko leczył chorych, ale głosił im także Królestwo Boże. To jednakże nie odpowiadało ludziom. Choć na pierwszy rzut oka może wydawać nam się to dziwne, to gdy przyjrzymy się bliżej tej zasadzie rządzącej postępowaniem ludzi otaczających już dwa tysiące lat temu Pana Jezusa, będziemy musieli stwierdzić, że w gruncie rzeczy jest ona absolutnie zgodna z naturą człowieka – naturą, która potrafi docenić dobrze swe własne korzyści, wie, jak o nie zadbać i cieszy się z odzyskanego zdrowia. Ta sama natura jednakże, cielesna i upadła, poddana zmysłowym bodźcom, posiada jednak jedną dominującą cechę, determinującą każde jej działanie – jest z zasady wroga Bogu i znajduje się w opozycji wobec Niego i dlatego cielesne błogosławieństwo (np. uzdrowienie), gdy

powiązane jest nieodłącznie z obecnością Boga, nie jest u niej mile widziane. Nie potrafi zdobyć się na otwarte przyjęcie takiego „kompletu”, gdyż też – nie posiadając choćby cienia zrozumienia dla Bożych błogosławieństw i zainteresowania Jego sprawami – nie może. Ale niemożliwością jest, aby Chrystus obdarowywał w jakikolwiek inny sposób. Jego sposób działania był i jest zawsze bezkompromisowy – celem Pana Jezusa było zawsze z jednej strony uwielbienie Boga, z drugiej zaś przyniesienie ulgi i odpocznienia zgubionemu, nędzemu grzesznikowi. Bóg został w tym świecie znieważony, zaś człowiek całkowicie zrujnowany. Należałoby dodać na tym miejscu, że to człowiek zrujnował samego siebie. Zaś Pan Jezus, niwelator owej olbrzymiej przepaści między Bogiem a człowiekiem oraz uzdrowiciel tego stanu, wykonywał doskonałe dzieło Boże – broniąc świętego imienia Boga i Jego prawdy, ogłaszając Jego Królestwo i rządzące w nim prawa oraz objawiając Bożą chwałę, niosąc jednocześnie cudowny ratunek i życie wynędzniałemu, zgubionemu i duchowo martwemu grzesznikowi.

Jak już jednak wspomnieliśmy, postępowanie takie nie odpowiada w najmniejszym stopniu upadłemu człowiekowi, który troszczy się o siebie samego i własne dobro, nie dbając jednak w najmniejszym stopniu o chwałę Bożą, od której pragnie trzymać się jak najbardziej z dala. Takim niestety jest człowiek. Jakimż pięknym jest jednak widok biednego grzesznika, który, dzięki wierze, jaka zamieszkała w jego sercu, przejawia całkowicie odmienne usposobienie i potrafi cieszyć się

chwałą Bożą! Niewiasta kananejska jest dla nas przykładem takiej właśnie postawy. Chwała służby Chrystusa w dogłębnym sposobie dotknęła z mocą jej serca. Jednak mimo nieszczęścia tej niewiasty Pan Jezus trzyma się zasad Bożych i jako obcy mija ją, mówiąc: *Jestem posłany tylko do owiec z domu Izraela oraz Niedobrze jest brać chleb dzieci i rzucać szczeniętom* (Ew. Mat. 15, 24.26). Niewiasta podporządkowuje się pod to słowo, nie sprzeciwia się, nie oponuje, uznając Pana za rozporządzającego prawdą Bożą. Ani przez chwilę nie liczy na to, iż podda On tę prawdę i Boże zasady jej samej i jej potrzebom. Pragnie, aby **Bóg** został uczczony zgodnie ze swoimi zamysłami w Osobie Chrystusa – sługi, na którym nieustannie spoczywało z upodobaniem Boże oko – i to bez względu na to, jak potoczy się jej sprawa. Swą odpowiedzią: *Tak, Panie* potwierdza wszystko, co Pan uprzednio powiedział. Niemniej jednak dopowiada, w całkowitej zgodności z Jego własnymi słowami: *Ale i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu panów ich* (w. 27).

Jakim cudownym jest ten obraz, będący owocem działającej w jej duszy światłości Bożej! Postępowanie bogobojnej matki Pana Jezusa w Ewangelii Łukasza 2 nie dorasta do poziomu nacechowanego wiarą działania tej pogańskiej kobiety. Maria nie wiedziała bowiem, że Pan Jezus *musiał być w tym, co jest Ojca jego*, podczas gdy niewiasta kananejska doskonale pojęła, że to właśnie sprawy i zainteresowania Ojca musiały w myślach i czynach tego doskonałego sługi Bożego zajmować nieustannie pierwsze miejsce. Nie próbowała przeforsować

swojej woli, pragnąc, aby Bóg został uwielbiony przez wierność Chrystusa, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że dla niej samej mogło to oznaczać bycie odtrąconą i pozostawioną samotnie w jej głębokim smutku.

W postępowaniu tej kobiety na pierwszy plan wysuwa się prawdziwa znajomość Pana Jezusa Chrystusa – znajomość ta objawia się w praktyce w zaakceptowaniu Go takim, jakim był – jako Tego, który żył dla Boga w tym zbuntowanym przeciwko Niemu i Jego zasadom świecie, a także dla biednego, niegodnego grzesznika, który sam przyczynił się do swojej doszczętnej duchowej ruiny.

Niezrozumiany, ale przyciągający innych do siebie

Może się to wydawać zaskakujące, ale nie jest dobrze być zawsze rozumianym przez innych. Nasze postępowanie oraz zachowanie jako ludzi wierzących powinno nosić charakter obcych przybyszy na tej ziemi, którzy, będąc obywatelami dalekiego, nieznanego kraju, posługują się zupełnie inną mową i rządzą odmiennymi prawami i zwyczajami, które są ciężko zrozumiałe lub nawet niepojęte dla obywateli tej ziemi, których życie, interesy – jednym słowem wszystko – są z nią nierozdzielnie związane. Ciało i krew (naturalny człowiek, tj. człowiek w swej przyrodzonej, upadłej naturze) nie są w stanie ich właściwie ocenić, nie widzą w nich żadnej logiki ani wartości. Wierzący, którzy cieszą się poklaskiem tego świata, których postępowanie i przyświecające im motywy są przez niego zawsze rozumiane,

nie znajdują się w dobrym duchowym stanie. Śledząc Ewangelie, zauważymy, że nawet najbliższa rodzina Pana Jezusa nie rozumiała Go ani nie poznała. Bo czyż Jego matka знаła Go dobrze, nalegając na Niego podczas wesela w Kanie, aby objawił swoją moc, zaopatrując gości w wino (Ew. Jana 2)? Czy słowa Jego braci: *Jeśli takie rzeczy czynisz, to pokaż się światu* świadczą o ich duchowym zrozumieniu dla Jego Osoby (Ew. Jana 7,4)? Cóż to za czcza myśl, gdy głębiej się nad nią zastanowimy! Jak dalece nie na miejscu było usiłowanie uczynienia z Pana Jezusa człowieka podziwianego na arenie tego świata! Czy można oczekiwać, by w sercach, w których zrodziła się taka myśl, istniało prawdziwe poznanie Jezusa Chrystusa? – Z całą pewnością nie! Dlatego też ewangelista zaraz dodaje: *Gdyż nawet Jego bracia nie wierzyli w Niego*. Potrafili zrozumieć jedynie tyle, że Pan Jezus posiadał nadzwyczajną moc. Nie posiadali przy tym ani krzty zrozumienia dla zasad, którymi się kierował w swym postępowaniu. Rozpoznajemy to po tym, że moc, którą posiadał, kojarzyli automatycznie ze służbą interesom człowieka w tym świecie. Takie myślenie jest dalece rozpowszechnione i wspólne dla całego rodzaju ludzkiego. Jednakże Jezus stanowił kompletne przeciwieństwo takiej ludzkiej postawy, a Jego światowo usposobiona rodzina nie była w stanie Go pojąć. Zasady, które stanowiły o całości kształcie Jego bycia i zachowania, które określały i determinowały każde Jego słowo czy czyn, były całkowicie obce takiemu światu. Były one powszechnie wzgardzone, tak jak niegdyś Dawid, tańczący radośnie przed Skrzynią Przymierza przez królewską córkę (2. Sam. 6,16).

Jakąż moc przyciągania miała jednak Jego Osoba na każde serce i oko, które zostały rzeczywiście otwarte przez działanie Ducha Świętego! Apostołowie poświadczają nam ten fakt w swoich pismach. Nie znali dogłębnie Jego nauki, a przebywanie z Nim nie przyniosło im żadnych światowych korzyści. Co jak co, ale dzięki chodzeniu z Panem ich pozycja w tym świecie nie polepszyła się ani o odrobinę. Nie mamy też żadnych podstaw, aby przypuszczać, że którykolwiek z apostołów odniósł osobistą korzyść z Jego mocy czynienia cudów. Było wręcz przeciwnie. Jawią nam się często raczej jako powątpiewający w Jego moc, niż jako ci, którzy robią z niej użytek. A jednak przyłgnęli do Niego całą duszą. Nie przyłączyli się do Pana z tego powodu, że widzieli w Nim nieprzebrane i niekończące się źródło zaspokojenia własnych potrzeb i korzyści – nie, oni nie uczynili tego z ludzkich, podłych i wyrachowanych pobudek. Musimy raczej stwierdzić z naciskiem, że nigdy nie czerpali dla siebie korzyści z Jego mocy. A jednak wciąż trwali przy Nim – jakże ogromnie byli zmartwieni i przygnębieni, gdy Pan mówił im o swoim odejściu; jakże gorzko płakali, gdy ogarnęło ich beznadziejne przekonanie, że rzeczywiście stracili Go na zawsze.

Zatem powtórzmy jeszcze raz: jakąż moc przyciągania musiała mieć obecność Pana Jezusa na tych wszystkich, których serca zostały oświecone przez działanie Ducha! Równie dobrze możemy powiedzieć o nich, używając słów z Ewangelii Jana, że zostali do Syna *pociągnięci przez Ojca* (Ew. Jana 6,44).

Jakiż autorytet posiadało choćby jedno spojrzenie Pana lub choćby tylko jedno Jego słowo! Widzimy to dobitnie w Ewangelii Mateusza. Słowa z usta Pana: *Chodź za mną* były w pełni wystarczające, aby uczniowie pozostawili wszystko, udając się za Nim. Ten Jego autorytet i nieodparta moc przyciągania odczuwane były nawet przez ludzi o różnych, często zupełnie sobie przeciwstawnych temperamentach. Porównajmy ze sobą trzeźwo myślącego, wiecznie racjonalizującego, ociążałego we wierze Tomasza z ognistym temperamentem nierozważnego Piotra – choć tak skrajnie różni od siebie, obaj zostali przyciągnięci przez Pana Jezusa i zachowani w bliskości tego cudownego Centrum. W Jego obecności nawet ten gnuśny Tomasz, zawołał żarliwe słowa, tchnące duchem gorliwego Piotra: *Pójdźmy i my, abyśmy razem z nim pomarli* (Ew. Jana 11,16).

Cóż to będzie za chwila, kiedy także i my będziemy oglądać i zażywać Jego wspaniałości! Cóż za moment, gdy ta niezliczona rzesza wywodząca się z różnych narodów, o różnych kolorach skóry, z różnych ras i języków, zostanie zgromadzona jednomyślnie wokół Pana, gdy już wszyscy, którzy jesteśmy Jego własnością, znajdziemy się na wieki w tym innym świecie, godnym Jego znakomitej Osoby! Rzeczywiście warto zadać sobie trud, aby przyrzeć się bliżej przykładom osób, które pokazują nam, jakie kosztowności może Pan Jezus posiadać dla serc, tak podobnych do naszych. Możemy przywitać je jako namiastkę tego, co w żywej nadziei zostało nam już подарowane.

Światłość Boża promienieje przed nami, abyśmy według udzielonej nam mocy rozpoznali ją, korzystali z niej, cieszyli się nią i za nią podążali. Nie jest ona oskarżeniem wobec nas ani bezwzględnym, wzywającym żądaniem – światłość ta promienieje swym blaskiem po to, abyśmy odzwierciedlali ją w mocy udzielonej nam łaski. Szczególnie wyraźnie widzimy działanie tej łaski w pierwszych dniach Kościoła, pośród wierzących w Jerozolimie. Oświecająca ich światłość Boża niczego od nich nie żądała. Emanowała po prostu mocnym, jasnym blaskiem i to było wystarczające. Piotr przemówił do Ananiasza językiem tej właśnie światłości: *Czyż póki ją miałeś, nie była twoją, a gdy została sprzedana, czy nie mogłeś rozporządzać pieniędzmi do woli?* (Dz. Ap. 5,4). Światłość ta nie zwracała się do Ananiasza z szeregiem jakichś wybujałych żądań i wymogów – ona świeciła po prostu przed nim w całej swej krasie, aby mógł w niej kroczyć i postępować zgodnie z miarą danej mu łaski.

Taki charakter nosi właśnie moralna wspaniałość naszego Pana Jezusa jako człowieka. Naszą podstawową powinnością wobec tej światłości jest uczenie się od niej, kim On jest. Nie powinniśmy przy tym rozpoczynać naszej nauki od zawstydzających i bolesnych porównań z jej blaskiem, lecz jesteśmy raczej powołani, by w pokoju, z radością i dziękczynieniem poznawać Pana Jezusa w Jego doskonałym człowieczeństwie i uczyć się od niego. Wiemy, że ta cudowna moralna chwała i wspaniałość opuściły tę ziemię i nie możemy ich już zobaczyć na własne oczy. Obecnie nie ma na ziemi ich żywego obrazu. Ewangelie opisują nam je co

prawda, ale nigdzie nie znajdujemy ich namacalnego odzwierciedlenia. Jedynym, który ukazał na tej ziemi Bożą chwałę w jej pełni, był właśnie Pan Jezus, ale gdy opuścił ziemię i odszedł do Ojca, nie było nikogo, kto byłby w stanie zająć Jego miejsce.

Lecz chociaż już nie tutaj, umiłowani, nie na arenie tego marnego świata, to jest On jednak wciąż ten sam. Mamy go znać niczym ze słodkich wspomnień, zaś przy wspomnieniach nie ma miejsca na fikcyjne urojenia fantazji. Uczniom dane było osobiście znać Pana. To On sam, Jego obecność, przyciągała ich do Niego. I jeśli wolno mi mówić za innych, to również i my bardzo tego dzisiaj potrzebujemy. Możemy się trudzić poznawaniem głębokich prawd odnośnie Jego wzniosłej Osoby i jesteśmy nawet w stanie robić postępy w tym zakresie, a mimo to żarliwa miłość, jaką posiadali uczniowie do Niego, zostawia nas daleko w tyle, i to bez względu na rozmiary naszego poznania oraz ich niewiedzy i licznych niedomagań. Z całą pewnością jest dobrze, jeśli nasze uczucia do Pana przewyższają nasze poznanie, które z łaski posiadamy. Szczerłość uczuć wobec Niego świadczy tak naprawdę o tym, że właściwie Go poznaliśmy. Dałby Bóg łaski, aby jak najwięcej było takich wierzących, dla których miłość do Pana Jezusa jest ponad wszelkim poznaniem. Niestety, często brak nam tej szczerzej miłości do Niego wyrażonej przez trwanie w Nim i całkowite oddanie. W naszych czasach rozpowszechnia się raczej zjawisko wręcz przeciwne. Nasze poznanie prawdy wcale nierzadko przerasta daleko odpowiedź naszych serc wobec Niego. Jeśli posiadamy

jeszcze jakkolwiek szczerść i duchową wrażliwość, odkrycie takie powinno nas głęboko zasmucić.

Ktoś powiedział: *Przywilej naszej chrześcijańskiej wiary oraz tajemnica jej mocy polega na tym, że wszystko, co ta wiara posiada i zewnętrznia w życiu, jest zawarte w tej jednej Osobie*. Podczas gdy tak wiele innych rzeczy okazuje się być słabymi, to jednak wiara posiada swoją moc, ponieważ jej punktem centralnym jest Chrystus, tak dokładnie jak okrąg posiada swój środek. Możemy to odnieść też do tego, że nie ma kręgu zbawionych bez Zbawiciela, gdyż On jest punktem centralnym zbawienia, a wieczne szczęście zależy od tego, który uszczęśliwia, bo On zawsze będzie pośrodku. To właśnie cechuje chrześcijańską wiarę tych, którzy pielgrzymują przez ten świat i zarazem rozświetla drogę przed nimi. Wszystko inne wydaje się przy tym jakby światłem księżyca, który owszem – świeci, ale sam w sobie nie jest źródłem światła. Wiara jednak jest tym światłem w ciemności i życiem”. „Jakąż różnicą jest” – dodał jeszcze – „podlegać przepisom prawnym, a oddać się chętnie z miłującym sercem, przyjąć system zasad, a przyłgnąć do **Osoby!** Nigdy nie zapominajmy o tym, że nasze błogosławieństwa są zawarte w Osobie, która nie była Nauczycielem i Panem tylko dla jednej, żyjącej wówczas generacji ludzi, zaś dla kolejnych pokoleń zmarłą, historyczną osobą, która przeminęła z wiatrem jak każdy inny człowiek, lecz jako Ktoś wciąż żywy i obecny dla każdego”. Są to właściwe, trafne słowa i zapewne warte tego, abyśmy o nich zawsze pamiętali.

Jego służba w odniesieniu do Boga, stosunek wobec szatana oraz ludzi

Moralną wspaniałość Pana Jezusa możemy oglądać zarówno w Jego służbie, jak i poprzez Jego charakter. Mówiąc o służbie, mam na myśli stosunek Pana wobec **Boga** oraz Jego działanie wobec szatana i ludzi. Co się tyczy Boga, Pan Jezus był w swoim postępowaniu dokładnie takim, jakim Bóg pragnął widzieć człowieka. Ludzka natura Pana była dla Boga ofiarą pokoju o miłej wonności (3. Mojż. 3)¹³. On był tym czystym kadzidłem, miłą wonią, jako czysty snop z pierwocin pochodzących z uprawianej przez człowieka ziemi. To On przywrócił całkowite upodobanie Boga w człowieku, które zostało tak brutalnie przerwane przez upadek i grzech Adama. Bóg bolał nad tym, jak czytamy, że uczynił człowieka (1. Mojż. 6,6), ale te właśnie boleść i żal przemieniły się dzięki Panu Jezusowi w chlubę i pełne najwyższego zachwytu upodobanie, jakie Bóg na powrót znalazł w człowieku. Ofiara, jaką przyniósł Bogu Pan Jezus, została złożona pośród różnych niesprzyjających okoliczności, sprzeciwów, cierpień i ciągłych rozczarowań. Cóż za doskonały ołtarz i doskonała ofiara! Tak, ofiara ta była bezgranicznie bogatszą i stanowiła dla Boga większą wartość niż mogłaby przynieść wieczność wypełniona stanem niewinności, jaki panował w ogrodzie

¹³ W polskim tłumaczeniu Biblii Warszawskiej w 3. Mojż. 3 występuje pojęcie „*ofiary pojednania*”. Dokładne tłumaczenie nazwy tej ofiary brzmi jednak „*ofiara pokoju*” (przyp. tłum.).

Eden. Tak, jak Pan Jezus reprezentował człowieka wobec Boga, tak też reprezentował Boga wobec człowieka. Z powodu odstępstwa i upadku Adama, Bóg utracił swego reprezentanta i swe odbicie na tej ziemi, jakie miał w człowieku. Teraz jednak odnalazł je w Chrystusie, i to w sposób nieporównanie doskonalszy i wspanialszy, niż kiedykolwiek mogłoby to mieć miejsce w Adamie. Pan Jezus objawił Boga w Jego łasce nie pięknemu, nieskażonemu stworzeniu, lecz zatraconemu i zgubionemu światu. Tylko On mógł powiedzieć: *Kto mnie widział, widział Ojca* (Ew. Jana 14,9). Tak, On bezsprzecznie objawił Boga. Wszystko, czym Bóg jest i co można wiedzieć o tej niedostępnej światłości, do której żaden z ludzi nie ma przystępu (1. Tym. 6,16), zostało nam objawione przez Pana Jezusa i w Nim samym.

Patrząc na stosunek Chrystusa wobec Boga w Jego służbie, widzimy, że On zawsze miał na względzie Boże prawa. Odpowiadając codziennie na ludzkie potrzeby był nieustannie wiernym prawdzie Bożej i Jego zasadom. Bez względu na to, z jakimi troskami i ciężarami przychodzili do Niego ludzie, nie czynił nigdy czegokolwiek kosztem Bożych praw i niezmiennych zasad. Przy Jego narodzeniu aniołowie wołali: *Chwała na wysokości Bogu oraz: a na ziemi pokój ludziom, w których ma upodobanie*¹⁴.

¹⁴ Można odnieść wrażenie, że chodzi tu tylko o niektórych ludzi – konkretnie właśnie tych, w których ma upodobanie – ale tak nie jest. Słowo „*upodobanie*” odnosi się do ogółu ludzi i oznacza dosłownie tyle, co „*chęć dobrej woli wobec ludzi*” lub „*chęć zadowolenia ludzi*”. Poza tym w oryginalnym tekście nie ma rodzajnika przed słowem „*ludziom*”, co potwierdza fakt, że nie chodzi o jakąś konkretną grupę, lecz o ludzi w ogóle (przyp. tłum.).

Zgodnie z tymi słowami Pan Jezus z taką samą gorliwością zabiegał o przyniesienie chwały i czci Bogu, z jaką poświęcał się służbie potrzebującym zbawienia grzesznikom. Echo tych słów: *Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom...*, dało się słyszeć przy każdej okazji podczas służby Pana na tej ziemi. Wspomniana już przez nas historia niewiasty kananejskiej jest tego żywym przykładem. Dopóki nie zajęła ona właściwego stanowiska odnośnie zamysłu Bożego wyrażonego w słowach Pana Jezusa (Ew. Marka 7,27) oraz nie uznała go w sercu, tak długo Pan nie mógł dla niej nic zrobić; dopiero, gdy ją pojęła i zaakceptowała w pokorze i z wiarą, mógł uczynić dla niej wszystko, czego pragnęła. To jest tylko kilka cech tej doskonałej służby Pana Jezusa, gdy rozważamy ją w odniesieniu do Boga.

Przejdźmy zatem do działania Pana Jezusa w odniesieniu do **szatana**. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj prawda, że Pan Jezus w stosownym czasie, czyli w chwili rozpoczynania swojej służby, spotkał się z szatanem jako kusicielem. Zauważmy przy tym, że szatan podczas spotkania z Panem na pustyni dążył do tego, aby doprowadzić Go do takiego samego moralnego zepsucia, do jakiego udało mu się podstępnie doprowadzić Adama i jakie w konsekwencji zaszczerpił w całej ludzkości. Zwycięstwo nad kusicielem było koniecznym i właściwym wprowadzeniem do wszelkich późniejszych poczynań i całej służby Pana Jezusa. Dlatego też czytamy, że to Duch zaprowadził Pana na pustynię na przeciw zwodzicielowi: *Wtedy Duch zaprowadził Jezusa na pustynię, aby go kusił diabeł* (Ew. Mat. 4). Zanim Syn

Człowieczy mógł wejść do domu mocarza i zagrabić jego sprzęty, musiał uprzednio skrępować go więzami (Ew. Mat. 12,29). Zanim mógł w ogóle ukrócić¹⁵ te bezowocne uczynki ciemności szatana, musiał udowodnić, że On sam nie ma z nimi nic wspólnego (Efez. 5,11). Zanim Pan mógł wejść do królestwa wroga, aby zniweczyć jego dzieła, musiał stawić mu czoła i pokazać, że nie ma on do Niego żadnego przystępu.

Pan Jezus zamknął szatanowi usta. Uciszył go, unieszkodliwił i związał, w konsekwencji czego szatan musiał wycofać się jako całkowicie pokonany, powiedzielibyśmy, znokautowany kusiciel. Szatan nie był bowiem w stanie zaszcześcić w Panu Jezusie czegokolwiek z siebie, w jakikolwiek sposób wpłynąć na niego swoją urabiającą i manipulującą mocą. Jako przegrany musiał jedynie Stwierdzić, że wszystko, co napotkał w Chrystusie, było z Boga. Chrystus odrzucił zdecydowanie wszystko, co zaoferował Mu szatan, a co niestety przyjął i wpuścił do swego wnętrza Adam. A teraz, kiedy Pan okazał się w swej postawie doskonale czystym i przeszedł zwycięsko tę próbę, posiadał moralne prawo, aby obnażyć wszelką nieczystość i nazwać ją po imieniu.

Skóra za skórę (Job 2,4) – tak diabeł, ów oskarżyciel, mógłby powiedzieć o każdym innym człowieku; tymi i podobnymi słowy miałby możliwość obwiniania upa-

¹⁵ Wiersz, do którego nawiązuje tutaj autor pochodzi z Efez. 5,11. Z oryginalnego tekstu można by przetłumaczyć go następująco: *Obnażcie te uczynki przy pomocy światła w ich prawdziwym charakterze* lub, nieco inaczej, tłumacząc słowo *skarcić*: *demonstracyjnie przedłożyć przed czyjeś sumienie* (przyp. tłum.).

dłej natury człowieka. Jednakże jako oskarżyciel Pana Jezusa nie był on w stanie przedłożyć choćby jednego osądającego dowodu czy argumentu przed tronem Boga. Szatan został zmuszony do milczenia. Tak wyglądało pierwsze bezpośrednie starcie Pana Jezusa z szatanem i takim było od początku Jego stanowisko wobec niszczyciela. Bazując właśnie na tej wygranej pozycji, jako zwycięzca, wszedł do domu powalonego mocarza i złupił jego sprzęty. To świat jest domem, o którym tu mowa i to właśnie w nim dostrzegamy Pana Jezusa w Jego służbie, jak usuwa, wręcz wyplenia te różnorodne ślady mocy wroga i jej najboleśniejsze przejawy, świadczące niezbitnie o brutalności i bezduszości gospodarza tego znękanego domu. Każdy głuchy, który odzyskał słuch, każdy niewidomy, który na nowo mógł cieszyć się wzrokiem, każdy oczyszczony trędowaty, każdy chory, który dostał uzdrowienia – każdy przedmiot, każde dzieło i każdy człowiek, które doświadczyły działania Jego zbawczej, naprawczej ręki – wszystkie nosiły ten wzniosły charakter i były niczym innym jak właśnie zagrabieniem łupu mocarnego tyrana. Związawszy szatana, Pan Jezus przystąpił do procesu skutecznego łupienia jego dobytku. Na końcu swej drogi życia Pan Jezus wydaje samego siebie szatanowi, jako temu, który posiadał *władzę nad śmiercią* (Hebr. 2.14). Golgota była tą godziną *mocy ciemności* (Ew. Łuk. 22,53). To właśnie tam szatan zastosował i zarazem wyczerpał wszystkie swoje środki i posłużył się całym swoim podstępem oraz wyrachowaniem, ale jednak został przez Pana przewyciężony i obalony. Pozorny jeniec szatana stał

się jego pogromcą – to przez śmierć Pan Jezus zniszczył tego, który posiadał moc nad śmiercią. Przez ofiarowanie samego siebie Pan Jezus usunął grzech. Głowa węża została zdeptana. Stało się zatem faktem, że to nie człowiek, ale śmierć okazała się być zupełnie bezsilną. Tak więc Jezus, Syn Boży, stał się miażdżycielem szatana, dokładnie tak, jak już uprzednio był krępującym jego ruchy, tym, który najpierw go związał, a potem złupił i całkowicie ograbił z instrumentów jego mocy.

Jednakże w działaniu Pana Jezusa, rozważanym w relacji względem szatana, wychodzi na jaw jeszcze jedna cecha Jego moralnej wspaniałości. Chrystus nie pozwalał nigdy szatanowi składać o sobie świadectwa, nawet jeśli było ono prawdziwe i wyrażone w pochlebny sposób, jak na przykład w tej sytuacji, kiedy duch nieczysty wołał w obecności Pana: *Wiem, kim Ty jesteś, święty Boży* (Ew. Marka 1,24). Widzimy, że Pan Jezus nakazał mu zamilknąć. Służba Pana Jezusa była równie czysta, jak i pełna łaski. Ze względu na nieskażoną czystość swojej służby Pan nie przyjmował żadnej pomocy od tego, którego miał zniszczyć. Tak samo jak w swojej naturze, tak też i w swojej służbie Pan Jezus nie mógł mieć nic do czynienia, ani zawierać jakiegokolwiek kompromisu czy współpracy z ciemnością. U Niego cel nigdy nie uświęcał środków, dlatego też szatan składający przez demony zupełnie prawdziwe o Nim świadectwo, zostawał zgromiony i musiał zamilknąć¹⁶.

¹⁶ Kiedy prześledzimy służbę Pana Jezusa w Ewangeliach w odniesieniu do szatana, zobaczymy Go w trojakim charakterze tego, któ-

Na koniec pozostaje nam jeszcze jeden aspekt służby Pana Jezusa – Jego służby w odniesieniu do **człowieka**. Także i tutaj, Jego nieporównane cechy i przejawy Jego moralnej wspaniałości, błyszczą cudownym, niepowtarzalnym blaskiem. We wszelkim nieszczęściu niósł człowiekowi nieustannie ulgę i pokrzepienie; leczył i pomagał, uświadamiając mu jednocześnie, jak dogłębnie upadłą i buntowniczą była jego natura, która oddaliła się od swego Stwórcy i dobroczyńcy i sprzeniewierzyła Mu się. Ponadto poddawał człowieka próbie i to właśnie ten fakt, co prawda zwykle pomijany, zasługuje na naszą baczną uwagę. Poprzez kierowane do ludzi pouczenia, Pan Jezus badał i ujawniał, jaki mają do Niego stosunek i gdzie stoją w relacji wobec Niego. Zarówno jeśli chodziło o uczniów, otaczające Go tłumy, które przychodziły do Niego z balastem swych trosk, jak i też tych, którzy byli wobec Niego wrogo nastawieni – wszyscy oni podlegali dogłębnej, rzetelnej, analizującej próbie Pana. Przebywając z uczniami i udzielając im wszelakich pouczeń, Pan Jezus nieustannie penetrował ich serca i sumienia, na co możemy znaleźć wiele przykładów. Dokładnie tak samo postępował wobec tłumów, które za Nim podążały. *Słuchajcie i rozumiejcie* (Ew.

ry go związał, ograbił i zmiądzzył. Gdy zwrócimy się ku Księdze Objawienia, zauważymy tam kontynuację tego działania w akcie zrzucenia szatana z nieba na ziemię (Obj. 12). Następnie Pan Jezus, posługując się aniołem, zamyka związanego szatana w otchłani, aż w końcu wrzuca go do jeziora ognistego (Obj. 20). W Słowie Bożym możemy zatem prześledzić kompletny obraz zwycięstwa Pana nad szatanem, poczynszy od miejsca kuszenia, czyli pustyni, aż po samo jezioro ogniste (przyp. aut.).

Mat. 15,10) – brzmiały Jego słowa, przez które testował także, co jest w ich sercach. Pod adresem tych, którzy przychodzili do Niego z różnymi chorobami, kierował słowa: *Czy wierzycie, że mogę to uczynić?* (Ew. Mat. 9,28). Wspomniana już przez nas niewiasta kananejska jest także wyraźnym świadectwem tego, w jaki sposób Pan wystawiał na próbę przystępujące do Niego osoby. Zwracając się do Szymona w jego własnym domu (Ew. Łuk. 7), opowiedziawszy mu historię dwóch dłużników, skierował do niego słowa, które przenikały na wskroś właśnie jego sumienie: *Który więc z nich będzie go bardziej miłował?* (w. 42).

Takiemu badawczemu procesowi Pan Jezus poddawał także nieustannie faryzeuszy, swoich niestrudzonych przeciwników. W tym Jego działaniu daje się słyszeć cichy, a jednak jakże przenikliwy głos, penetrujący na wskroś nasze serca i sumienia, głos, którego nie da się w żaden sposób uciszyć, mówiący nam, kim On rzeczywiście jest. Pan Jezus nie przekreślał ich z góry, lecz gorąco pragnął przywieść do pokuty¹⁷. W podobny sposób obchodził się ze swoimi uczniami, gdy chciał doprowadzić ich do szczerzej samooceny swego po-

¹⁷ Czytamy nawet w Ew. Łuk. 7,30: *Natomiast faryzeusze i uczeni w zakonie wzgardzili postanowieniem Bożym o nich samych, bo nie dali się przez niego ochrzcić. Nie dając ochrzcić się chrztem Jana – chrztem upamiętania na odpuszczenie grzechów – wzgardzili łaską i dobrocią Bożą oraz oferowanym im ratunkiem. Wiersz ten pokazuje jasno, że wieczne zatracenie, które jest ostatecznym losem tak zatwardziałyich ludzi, nie było zamysłem, jaki Bóg miał względem nich (przyp. tłum.).*

stępowania. Poucza nas przez to, że jesteśmy w stanie tylko na tyle przyjąć Jego wskazania, na ile osiągną one i poruszają nasz rozum, serca i sumienia. Sposób, w jaki Pan pouczał, miał właśnie na celu poruszenie czyjegoś sumienia i był w zasadzie tylko jednym z wielu przejawów moralnej wspianiałości, jaka cechowała Jego służbę. Ale pozwólcie, że rozwinę ten temat jeszcze nieco dalej. W służbie wobec ludzi Pan Jezus występuje często w charakterze karcącego. Było to niewątpliwie konieczne pośród tego jakże zepsutego rodu ludzkiego, jednak chciałbym zwrócić uwagę zwłaszcza na godny najwyższego podziwu sposób, w jaki Pan Jezus napominał i ganił. Jego napomnienia kierowane do faryzeuszy, których światowe usposobienie stawiało ich w opozycji wobec Niego, niebiańskiego Człowieka, przybierają poważny ton: *Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie* (Ew. Mat. 12,30). Lecz ilekroć zwracał się do tych, którzy Go prawdziwie przyjęli i miłowali, ale którzy potrzebowali wzmocnienia ich wiary i światłości, aby byli w stanie zażywać pełni społeczności z Nim, mówi w jakże inny sposób: *Kto bowiem nie jest przeciwko wam, ten jest z wami* (Ew. Łuk. 9,50). W Ewangelii Mateusza 20,20-28, gdzie czytamy o dziesięciu uczniach występujących przeciwko dwóm pozostałym, synom Zebedeuszowym, Pan Jezus po raz kolejny ukazuje nam tę cechę swojego charakteru. W jakże miły sposób łagodni udzieloną słusznie uczniom reprimendę przez to, że mimo wszystko dostrzega w nich to, co dobre i piękne! Niemniej jednak gani ich. Czyniąc to, stoi jednak całkowicie poza pozostałymi dziesięcioma uczniami, którzy, wrząc

z oburzenia, byli gotowi nie szczędzić tych dwóch braci. Cierpliwie bada tę sprawę, jakby przepuszczając przez sito i oddzielając sprawną ręką mistrza to, co kosztowne, od tego, co pospolite.

Ten sam ton Jego głosu daje się słyszeć ponownie, gdy Pan zwrócił się z naganą do Jana, kiedy to uczniowie zabraniali wypędzać demony w Jego imieniu człowieka, który z nimi nie chodził. Jednakże w tym momencie serce Jana zostało poddane wychowawczemu działaniu Pana. W świetle wcześniejszych słów Pana Jezusa Jan odkrył popełniony błąd i nawiązał do tego, chociaż sam Pan ani jednym słowem nie wspominał tej sprawy. Ponieważ Jan uświadomił sobie swój błąd i szczerze, z całą otwartością go wyznał, Pan odpowiedział mu niezwykle delikatnie (Ew. Łuk. 9,46–50).

Również w przypadku Jana Chrzciciela spotykamy się z podobną sytuacją. Pan Jezus napomina go co prawda, lecz czyni to z pełnym taktu uwzględnieniem istniejących okoliczności, jako że Jan znajdował się wtedy w więzieniu. Jak głęboko fakt ten musiał poruszać serce Pana Jezusa! Niemniej jednak Jan Chrzciciel zasługiwał na naganę, ponieważ wysłał do Niego posłańców ze słowami, które zawierały w sobie pewien zarzut pod adresem samego Pana i zdradzały niemalą dozę wątpliwości, które znalazły przystęp do jego serca. Jednakże jak delikatnym było to napomnienie skierowane do Jana Chrzciciela! Odpowiedź, jaką mu przesłał Pan Jezus, mogła być tak naprawdę rozszyfrowana i właściwie zrozumiana tylko przez jej odbiorcę, samego Jana. Pan każe przekazać mu następujące słowa: *Błogosławiony*

jest ten, kto się mną nie zgorszy (Ew. Mat. 11,6). Nawet sami uczniowie Jana, którzy przyszli z pytaniem do Pana, nie byli w stanie pojąć wagi tych słów i dostrzec zakamuflowanej w niej nagany. Pan Jezus chciał przez te słowa otworzyć mu oczy na niesłuszność jego własnej postawy, jednocześnie nie obnażając go przed uczniami ani też przed światem.

Słowa, które Pan Jezus kieruje pod adresem uczniów idących do Emaus, jak też te do Tomasza, posiadają swoją własną znakomitość. Także apostoł Piotr zostaje dwukrotnie napomniany w kolejnych 16. i 17. rozdziale Ewangelii Mateusza, jednakże jakże odmiennym i skrajnie różnym jest sposób, w jaki Pan Jezus czyni to w tych dwóch sytuacjach! I właśnie ta różnorodność w postępowaniu Pana kryje w sobie moralną wspaniałość tego doskonałego Człowieka. Pan Jezus w różny sposób zwracał się do różnych ludzi – czasem mówił dobitnie, czasem też łagodnie, innym razem ostro lub delikatnie, a i nierzadko przy udzielaniu reprimendy był tak oszczędny w karcących słowach, że aż trudno byłoby nazwać jego wypowiedź naganą. Nieraz jednak Jego słowa napomnienia miały bardzo poważny charakter. Przyglądając się temu wszystkiemu, widzimy, że zawsze używał odpowiednich słów w danej sytuacji, dzięki czemu możemy odkrywać doskonałość Jego postępowania. Wszystkie te postawy i wypowiedzi Pana były niczym *złoty kolczyk i naszyjnik odkuty z czystego złota dla słuchającego*, bez względu nawet na to, czy ucho słuchacza rzeczywiście się im przysłuchiwało, dając im posłuch, czy też nie (Przyp. 25,12). Czytamy

też na innym miejscu słowa wskazujące na Pana: *Gdy sprawiedliwy mnie karze, jest to łaska, a gdy mnie karci, jest to jak wyborny olejek na głowę* (Ps. 141,5). Zaprawdę, Pan Jezus pozwolił, by Jego uczniowie właśnie tego doznali.

Epilog – doskonałość Syna Bożego

Tak oto rozważyliśmy zaledwie kilka cech wspaniałości moralnej Pana Jezusa Chrystusa jako człowieka. Reprezentował On sobą takiego, jakim zawsze winien być człowiek wobec Boga (jako istota stworzona na Jego obraz i podobieństwo). Bóg znalazł w Nim całkowite upodobanie, dosłownie znalazł w Nim spoczynek dla wszystkich swoich oczekiwań i wymagań względem człowieka. Doskonałość Chrystusa jako człowieka i zaakceptowanie go przez Boga zostały przedstawione obrazowo w ofierze z pokarmów, w której skład wchodziła najprzedniejsza mąka, olej i kadzidło, smażone na patelni lub pieczone w piecu (3. Mojż. 2). Kiedy Pan Jezus objawił się tutaj na ziemi jako ten prawdziwy człowiek przed Bogiem, Bóg nieustannie składał świadectwo o całkowitym upodobaniu, jakie w Nim miał. Pan Jezus wzrastał pod baczny spojrzeniem Bożego oka w swojej ludzkiej naturze, rozwijając wszelkie cnoty człowieka. Dla swojej rekomendacji i poparcia własnej Osoby nie potrzebował niczego innego, jak tylko siebie samego, dokładnie takiego, jakim był. W Nim samym, w całokształcie Jego ludzkiego bytu oraz postępowania człowiek został wyniesiony na najwyższe moralne wy-

żyny, dlatego też Pan Jezus, gdy droga Jego ziemskiego życia dobiegła końca, mógł pójść prosto, najkrótszą drogą do Boga – tak, jak niegdyś *snop z pierwocin żniwa* był bezpośrednio zabierany z pola i bez żadnego specjalnego procesu przygotowawczego przynoszony przed Boga. Bóg przyjmował go takim i takim przyjął też Pana Jezusa.

Prawo, jakie posiadał Pan Jezus jako człowiek do Bożej chwały, należało Mu się właśnie z racji Jego moralnej doskonałości. Miał On moralne prawo, aby bez przeszkód wstąpić do niebiańskiej chwały (być uwielbionym) Podstawę tego prawa stanowił wyłącznie On sam. W Ewangelii Jana 13,31-32 prawda ta została objawiona we właściwym momencie: *Teraz został uwielbiony Syn Człowieczy*. Słowa te Pan Jezus wypowiedział zaraz po tym, gdy Judasz opuścił swe miejsce przy stole. Krok ten poprzedzał pojmanie go przez Żydów, tak samo jak pojmanie poprzedzało zabicie Go przez pogan. To właśnie krzyż objawił pełnię Jego doskonałych cech, dlatego też Pan wypowiedział w tamtej chwili słowa: *Teraz został uwielbiony Syn Człowieczy*, dodając zaraz: *i Bóg został uwielbiony w nim*.

Przez dzieło krzyża Bóg został uwielbiony w doskonały sposób. Syn Człowieczy również, ale chwała, jaką otrzymał Bóg, różniła się zasadniczo od chwały Pana Jezusa. Syn Człowieczy został uwielbiony przez ostateczne dopełnienie miary tej doskonałości, która, widoczna nieustannie w Jego życiu, pokazała się w całym swym blasku jeszcze raz u jego kresu. W tej ostatniej godzinie uwielbienia Syna Człowieczego nie

mogło zabraknąć choćby jednego nawet promienia Jego chwały. Tak samo było zresztą od początku Jego życia, ponieważ w życiu Pana Jezusa nie było miejsca na cokolwiek, co byłoby niegodne tej chwały lub mogłoby przyćmiewać jej blask. Tak oto nadeszła godzina, w której miał zajaśnieć ten ostatni blask, aby tym samym dopełniony został cały obraz Jego wspaniałości. Niemniej jednak czytaliśmy w powyższych wierszach (Ew. Jana 13,31-32), że również i Bóg został wówczas uwielbiony – uwielbiony w Nim, gdyż wszystko, co było z Boga, nie załamało się ani nie przygasło ani na chwilę. Wręcz przeciwnie – zostało w Nim podtrzymane, a nawet zmanifestowane. Boże prawa zostały zachowane, zaś Jego dobroć objawiła się w najgodniejszy podziwu sposób w swym bezmiarze. Łaska i prawda, sprawiedliwość oraz pokój zostały w pełni zadowolone i zaspokojone. To natomiast, co wynika z charakteru i istoty samego Boga, czyli świętość, prawda, miłość, majestat, zostały w taki oto doskonały sposób objawione i ukazane w Bożej światłości. Nikt inny i nic innego nie mogło tego dokonać, jak tylko ten jedyny Syn. Krzyż, jak to ktoś ujął, jest moralnym cudem wszechświata.

Sledząc dalej słowa Pana, czytamy: *Jeśli Bóg został uwielbiony w nim, to Bóg uwielbi go w sobie i wnet go uwielbi* (Ew. Jana 13, 32). Tymi słowami Pan Jezus potwierdził swoje prawo do osobistej chwały. Był już gotów, aby dokończyć w swej śmierci obraz wspaniałości moralnej okazanej podczas całego Jego życia na tej ziemi. W chwili, gdy wypowiadał te słowa, manifestacja i obrona chwały Bożej stały się już faktem dokonanym.

Dlatego też sprawiedliwym było, aby wstąpił teraz do swej osobistej chwały. Tak też się stało, gdy zajął swe miejsce po prawicy majestatu Bożego, co rzeczywiście już *wnet* (tzn. wkrótce) miało mieć miejsce.

Dzieło Boga jako Stwórcy zostało bardzo szybko zniszczone przez człowieka. Zrujnował on zresztą sam siebie, doprowadzając do skrajnie zepsutego stanu. W Słowie Bożym czytamy następujące słowa: *Żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim* (1. Mojż. 6,6). Cóż za przerażająca zmiana w myślach Boga od tego dnia, kiedy *spojrzał na wszystko, co uczynił, a było to bardzo dobre* (1. Mojż. 1,31). Niemniej jednak w Panu Jezusie Bóg na powrót odnalazł swoje upodobanie w człowieku. Jakież błogosławiony, radosny fakt! Radość, przepelniająca teraz serce Boże, gdy spoglądał na człowieka, była tym większą i pełniejszą po uprzednim bólu i żalu. Była czymś daleko większym niż pierwszy stan radości i satysfakcji, bo była radością przywróconą po długim czasie straty i najgłębszych rozczarowań – stanowiła nie tylko pełną rekompensatę strat, lecz w istocie dalece przewyższyła ów pierwotny stan.

Na skutek popełnienia grzechu pierwszy człowiek znalazł się jakby *poza stworzeniem*¹⁸. Natomiast drugi człowiek, (który jednocześnie był Panem niebios), uwielbiwszy doskonale Boga, stał się *Głową stworzenia*, zasiadając po prawicy majestatu Bożego na wysokościach. Pan Jezus jest teraz uwielbionym człowiekiem

¹⁸ w jego pierwotnym porządku (przyp. tłum.)

w niebie, ponieważ w Nim, jako w tym posłusznym w życiu i w śmierci człowieku, Bóg został otoczony doskonałą, należną Mu czcią i chwałą. Wiemy, że Pan Jezus zasiada w niebie również w innym charakterze. Znajduje się tam jako Zwycięzca, jako Oczekujący oraz jako Arcykapłan w rozpiętym przez Boga Namioocie – przybytku, jako nasz wielki Prekursor¹⁹ i niezłomne Świadectwo oczyszczenia z grzechów. Ale zasiada w najwyższych niebiańskich miejscach także jako uwielbiony przez Boga człowiek, zaś Jego wywyższenie jest odpowiedzią Boga na wcześniejsze uwielbienie Jego Osoby przez Pana Jezusa na ziemi.

Życie i chwała należą do Pana Jezusa na mocy Jego osobistego i moralnego prawa. Przystawanie w zadumie nad tą prawdą i rozmyślanie nad nią wciąż na nowo – daje nam to dostęp do obfitości pokrzepienia. Pan Jezus nigdy nie utracił ogrodu Eden. Chociaż, chodząc po tej ziemi, znajdował się cały czas poza granicami tego cudownego miejsca, pośród cierni i ostów, cierpień, smutku i wyrzeczeń w tym zrujnowanym świecie, to jednak wszystkie te trudy wziął na siebie dobrowolnie i z łaski. Zupełnie dobrowolnie przyjął na siebie zaistnienie w tych jakże przytłaczających warunkach, ale nie podlegał im odgórnie. Nie został odcięty jak Adam i my wszyscy od drzewa żywota i rajy przez cheruby po jednej, a wirujący miecz po drugiej stronie. W Jego ziemskim życiu aniołowie odgrywali zupełnie inną rolę. Nie

¹⁹ tj. Ten, który jako pierwszy przetarł ten doskonały szlak do wyżyn niebiańskiej chwały (przyp. tłum.)

byli tymi, którzy bronili Mu wstępu do Bożego ogrodu. Wręcz przeciwnie – gdy znajdował się w pokuszeniach i próbach, przychodzili do Niego i służyli Mu. A dlaczego? – Ponieważ On stał niezachwianie tam, gdzie Adam upadł. Będąc najprawdziwszym człowiekiem, był przy tym człowiekiem zupełnie szczególnym, doskonałym. Bóg został w Nim uwielbiony, tak jak z drugiej strony przez wszystko inne jedynie rozczarowany i znieważony.

W jednym sensie ta doskonałość Syna Człowieczego, ta Jego wspaniałość moralna, jest w całości dla nas, ku naszemu najgłębszemu pożytkowi. Nadaje swój kosztowny aromat przelanej krwi Chrystusa, która dokonała przebłagania za nasze grzechy. Jest niczym obłok kadzidła, który wraz z krwią unosił się przed oblicze Boga w wielki dzień pojednania (3. Mojż. 16).

Z drugiej jednak strony ta doskonałość Pana jest dla nas zbyt wielka i zbyt wzniosła, abyśmy mogli do końca ją zrozumieć i osiągnąć. Kiedy myślimy o tym, kim my jesteśmy sami w sobie, jej świadomość przytłacza nas; gdy tylko jednak spojrzymy na to, kim On jest, napęlnia nas podziwem. Osobista, sędziowska chwała Boża, która ukazywała się w czasach starotestamentowych, była wręcz druzgocąca. Nawet mężowie, którzy w szczególny sposób cieszyli się przychylnością Boga, jak Izajasz, Ezechiel czy Daniel, nie mogli znieść jej blasku (Izaj. 6,1-7; Ezech. 1,28; Dan. 10,9-11). Również Piotr i Jan (Ew. Mat. 17,6) zrobili podobne doświadczenie. W podobny sposób ta wspaniałość Pana Jezusa, ta Jego moralna chwała, oświetlając nas swym niepojętym blaskiem, obnaża nas ludzi i przytłacza. Tylko wiara

czuje się w jej obecności jak u siebie w domu. Niestety, bóg tego świata zaślepia umysły ludzi, aby nie pojęli tej chwały i nie radowali się nią (por. 2. Kor. 4,4). Natomiast wiara wita ją radośnie i z otwartymi ramionami. Świadczą o tym dzieje ludzkie. Znajdując się w bezpośredniej obecności tej chwały, faryzeusze i saduceusze żądali znaku z nieba, gdyż ich oczy nie potrafiły jej dostrzec. Z kolei matka i bracia Pana przeoczała ją – matka z powodu zbyt marnego i ubogiego pojmowania, bracia z powodu światowego usposobienia; nawet uczniowie doświadczała z jej strony raz po raz nagany.

Ta czysta i wytłoczona oliwa z oliwek, która była używana do świecznika, była dla wszystkich zbyt czysta i rażąca w swym blasku, aby miała płonąć ciągle i nieprzerwanie w świętym przybytku Pana, przed Jego obliczem. Synagoga w Nazaret (czyt. Ew. Łuk. 4) pokazuje nam, jak mało skłonny jest człowiek, aby przyjąć to Boże światło. Wszyscy tam obecni rozpoznali przecież słowa łaski, które wychodziły z Jego ust i odczuli ich moc, ale zaraz pojawił się mocniejszy strumień ludzkiego zepsucia, który wstrzymał ten zdrowy nurt w ich sercach i pokonał go. Niestety, ludzka, cielesna i zepsuta natura odniosła swój triumf. W tym momencie ten uniżony, bezinteresowny Boży świadek ujawnił się pośród tego pysznego i zbuntowanego świata. To nie spodobał się jednak światu. Niech sobie tam *syn Józefa* mówi dobrotliwe i pocieszające słowa, ale oni i tak Go nie przyjmą – to przecież tylko syn cieśli. Jakież zdumiewające świadectwo doszczętnego zepsucia ludzkiego serca! Człowiek posiada co prawda swoje sympatyczne

strony, cnoty, swoje upodobania, wrażliwe wnętrze, daje się ponieść pozytywnym emocjom, co zauważamy w tej scenie z synagogi. Błogosławione słowa Pana Jezusa wywołały zatem na chwilę niejedno dobre odczucie i reakcje, ale co z nich pozostało i jakąż okazała się ich wartość, gdy Bóg chwilę później wystawił słuchaczy na próbę? – Sami widzimy, co lud zamierzał z Nim zrobić. Ach, czyż pomimo naszych nieraz dobrych skłonności i poglądów, naszych pozytywnych uczuć, nie musimy niejednokrotnie stwierdzić: *Wiem tedy, że nie mieszka we mnie, to jest w ciele moim, dobro* (Rzym. 7,18)?

Powtórzmy jeszcze raz: tylko wiara czuje się przy Panu Jezusie jak u siebie w domu. Czy moglibyśmy traktować takiego Pana z podejrzliwością lub obawami? Czy, patrząc na Niego, możemy w ogóle dopuścić do siebie jakiegokolwiek zwątpienie? Jak moglibyśmy zatem wybrać miejsce z dala od Tego, który siedział niegdyś przy jednej studni z niewiastą samarytańską? Czy ona sama usiadła jak najdalej od Niego? Nie, wręcz przeciwnie – również i my powinniśmy szukać dzisiaj Jego bliskości i dążyć do wzmocnienia zażyłości naszej relacji z Panem. Uczniowie, którzy Mu towarzyszyli, musieli raz po raz powtarzać swoje lekcje, których uczyli się w Jego obecności. Również i my wiemy coś na ten temat. Zamiast cieszyć się tym, czego się już o Nim dowiedzieli, uczniowie musieli raczej wciąż na nowo odkrywać ze zdumieniem, kim był Chrystus. W Ewangelii Mateusza 14 czytamy, że musieli zawołać w podziwieniu: *Zaprawdę, Ty jesteś Synem Bożym*. W tym momencie odkryli na nowo, po raz kolejny, kim był towarzyszący im Jezus. Gdyby posiadali

szczerą, dziecinną wiarę, położyliby się spokojnie obok Niego w łodzi (Ew. Mar. 4). Jakież to było wydarzenie! Posłużyło co prawda *ku ich zawstydzeniu*, ale przyniosło też *chwałę Panu!* Uczniowie zwrócili się do Niego w tonie pełnym zarzutu, jak gdyby był obojętny na niebezpieczeństwo, w którym się znaleźli: *Nauczycielu! Nic cię to nie obchodzi, że ginimy?* – zawołali do Niego. Pan Jezus obudził się na dźwięk ich głosu i natychmiast usunął przyczynę ich strachu. Jednakże zaraz potem napomniął ich i to nie z powodu ich niesprawiedliwych słów, lecz z powodu braku ich wiary.

Jak doskonale jest to wszystko, co możemy oglądać w Panu Jezusie! U Niego wszystko było na swoim miejscu. Możemy podziwiać w Nim zarówno wszelkie ludzkie cnoty, jak i owoce Jego namaszczenia Duchem Świętym i Jego Boską wspaniałość. Trzeba też tutaj koniecznie zaznaczyć, że te dwie będące w Nim natury (Boga i człowieka) nie zostały ze sobą zmieszane, lecz promienistość tej Bożej natury została w pewnym sensie złagodzona, zaś zwyczajność ludzkiej natury, te najzwyczajniejsze ludzkie przymioty, zostały uwypuklone w doskonałości Jego charakteru. Niczego podobnego nie można znaleźć w całym stworzeniu. A mimo to nie umniejsza to nic z faktu, że to, co było w Nim ludzkie, było prawdziwie ludzkie, zaś to, co Boskie, w każdym calu prawdziwie Boże i zgodne z istotą samego Boga. Spał w łodzi, gdyż był człowiekiem; uciszył wiatr i fale morskie, ponieważ był Bogiem.

Ta *moralna* wspaniałość naszego Pana musiała świecić promiennym blaskiem na pierwszym planie.

Posiadał On również chwałę o innych charakterach, ale ta musiała ustąpić na plan dalszy, dopóki Jego moralna chwała jako człowieka nie została zmanifestowana w całej pełni. Grecy, którzy przybyli do Jerozolimy, aby modlić się w święto, pytali o Jezusa i chcieli Go widzieć (Ew. Jana 12). Sytuacja ta wskazuje nam na przyszłe Królestwo i ukazanie królewskiej chwały Mesjasza. Była ona symbolicznym przedstawieniem tego wielkiego dnia, w którym pogańskie (tj. nieżydowskie) narody będą przychodzić do Jerozolimy, aby obchodzić święto, podczas gdy Chrystus będzie zasiadał jako król na Syjonie, Pan ponad wszystkim i Bóg całej ziemi.

Zawarta jest w tym jeszcze głębsza tajemnica i aby ją zrozumieć, trzeba posiadać wnikliwsze zrozumienie dróg Bożych. Samo oczekiwanie Królestwa nie nadaje umiejętności jej zgłębienia. Tego właśnie poznania brakowało faryzeuszom, którzy dopytywali się, kiedy ma przyjść Królestwo Boże. Pan Jezus powiedział im wtedy o innym królestwie, którego oni nie oczekiwali i nie cenili – o obecnym pośród nich wówczas królestwie, do którego należało wejść, zanim jeszcze to chwalebne Królestwo objawi się w swej widzialnej formie. Trzeba przyznać, że i uczniom brakowało właściwego zrozumienia w tym zakresie, gdy pytali Pana w *Dziejach Apostolskich 1: Panie, czy w tym czasie odbudujesz królestwo Izraelowi?*. Także i im Pan Jezus musiał przypomnieć, że zanim Królestwo to nastanie, otrzymają Ducha Świętego, aby być świadkami Chrystusa aż po krańce ziemi.

Podobnie ma się sprawa również w Ewangelii Jana 12. Pan poucza nas w tym fragmencie, że manifestacja Jego moralnej chwały musiała poprzedzić to Królestwo. Z całą pewnością nadejdzie chwila, kiedy On, Jezus, zasiądzie na tronie w blasku swej królewskiej chwały, zaś narody schodzą się będą ku Syjonowi, aby ujrzyć Króla w jego promiennej wspaniałości. Niemniej jednak, zanim jeszcze to wszystko nastąpi, najpierw musiała rozbłysnąć w całej pełni Jego czystość i wspaniałość jako człowieka. To właśnie ta myśl przyświecała Panu Jezusowi, gdy Grecy wypytywali się o Niego, chcąc Go koniecznie ujrzyć. *Nadeszła godzina, aby został uwielbiony Syn Człowieczy* powiedział Pan, mając na myśli właśnie swoją moralną chwałę i doskonałość, które miała okazać się w pełni na krzyżu, co już rozważyliśmy uprzednio w odniesieniu do Ewangelii Jana 13, 31-32. To właśnie ta wspaniałość rozświetlała drogę, na której kroczył po tej ziemi, od narodzenia aż do ostatnich chwil życia. Jego śmierć natomiast miała być uwieńczeniem, ukoronowaniem tej drogi. Teraz nadchodziła godzina śmierci, w której miały rozbłysnąć widzialnie dla wszystkich ostatnie promienie tej wspaniałości, dopełniając jej miary. Wypowiadając słowa skierowane do Greków, którzy chcieli Go widzieć, Pan Jezus wyjawiał kolejne etapy Bożego planu, pozwalając nam wejrzeć głębiej w drogi i zamysły Boże. Podobnie uczynił to w sytuacjach opisanych w Ewangelii Łukasza 17 oraz w Dziejach Apostolskich 1. Moralna chwała musiała zostać objawiona i zmanifestowana w całej swej pełni i krasie, zanim Mesjasz będzie mógł odsłonić swoją

królewską wspaniałość, sięgającą aż po krańce ziemi. Chwała ta bezsprzecznie należy się Jemu, i to wyłącznie Jemu. W Dziejach Apostolskich 10 czytamy, że niebo się otworzyło, a na ziemię zostało opuszczone białe, lniane płótno, zanim jeszcze Piotr otrzymał polecenie, aby brać z niego i jeść, zanim płótno to zostało przyjęte w niebiańskie progi i zniknęło sprzed ludzkich oczu. Zawartość płótna musiała zostać najpierw oczyszczona i uświęcona. Jednakże gdy w Ewangelii Mateusza 3 niebo otwarło się nad Jezusem, nie było takiej konieczności, aby został przyjęty do nieba, aby uzyskać przez to świadectwo upodobania, jakie miał w Nim Ojciec. Głosy pochodzące z samego nieba wydały o Nim świadectwo, zaświadczać o tym, kim był: *Ten jest mój Syn umiłowany, którego sobie upodobałem.*

Kiedy w Ewangelii Mateusza 27, 51 niebo rozwarło się po raz kolejny, tj. gdy zasłona świątyni rozerwała się na dwoje, wszystko było już dokonane. Nic więcej nie pozostało do uczynienia. Dzieło Chrystusa zostało zapieczętowane i przyjęte, podobnie jak na początku Jego drogi. I tak oto otwarte na początku Jego ziemskiej wędrówki niebo świadczy o Bożym upodobaniu dla Jego **Osoby**, zaś u jej kresu to samo niebo otwiera się po raz drugi, by dać wyraz całkowitej akceptacji i upodobania dla Jego **działa**.

Pozwólcie, że zakończę stwierdzeniem, że śledzenie cech Pana Jezusa i Jego służby na ziemi niesie dla nas błogosławieństwo i pełnię szczęścia oraz stanowi nieodrodną część chrześcijańskiego uwielbienia (tj. oddawania czci). Tej właśnie próby prześledzenia Jego

błogosławionych dróg podjąłem się w tej książeczce. Wszystko bowiem, czego Pan Jezus dokonał i co mówił, cała Jego służba w tej zewnętrznej, widzialnej dla nas formie oraz w jej wewnętrznej treści, składają nam świadectwo o tym, kim On był, zaś On sam świadczy o tym, kim jest Bóg. Na tej właśnie drodze, przemierzając w duchu ziemskie ścieżki Syna Bożego, dosięgamy Boga. Rozważając życie Pana Jezusa w Ewangeliach możemy wznieść się do samego Boga. Ta wzniosła prawda nadaje każdemu Jego krokowi niebywałe znaczenie i wagę. Wszystko, co możemy w Nim dojrzeć, co powiedział i co uczynił, jest realnym i prawdziwym wyrazem Jego istoty – tak, jak On sam w sobie był autentycznym, wiernym odbiciem Boga. A jeśli jesteśmy zdolni, aby zrozumieć charakter Jego służby, jeśli nasze oczy, wyczulone na każdy Jego ruch, potrafią dojrzeć Jego moralną chwałę i wspaniałość, tak nierozzerwalnie powiązane z każdą minutą Jego życia na tej ziemi, i jeśli w ten sposób poznamy Go, kim i jakim On jest, to wraz z tą lekcją nauczymy się, kim jest Bóg. Gdy tak się stanie, osiągniemy przewyższające ludzkie wyobrażenie poznanie Boga przez zwykłe drogi i powszednie czynności tego Boskiego Syna Człowieczego. Niech imię naszego Pana Jezusa Chrystusa będzie uwielbione.

O autorze słów kilka - John Gifford Bellett

Służba Johna Gifforda Belletta była szczególnym darem Boga dla Jego Zgromadzenia. Jeszcze dzisiaj wielu ceni sobie błogosławieństwo, które otrzymali przez jego pisma.

Urodził się w Dublinie w roku 1795 i pochodził z angloirlandzkiej rodziny. Po ukończeniu szkoły łacińskiej w Exeter udał się do słynnego Trinity College w Dublinie, gdzie wykształcił się na znakomitego znawcę języków klasycznych. Wykładając już od jakiegoś czasu prawo w Londynie, powołany został do sądu kancelaryjnego w Dublinie. Niedługo później porzucił jednak to stanowisko ze względu na swoje sumienie. Nawrócił się już w latach młodości i stał się zdecydowanym chrześcijaninem. Cenił sobie nad wyraz chwałę naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, o czym świadczą niezbitnie jego pisma.

W latach 1846-1848 przebywał w Bath, a dopiero w roku 1854 definitywnie wrócił do Dublina, gdzie w roku 1864 został powołany do Pana. Jego najbardziej znane książki to: *Świat przed potopem i patriarchowie*, *Ewangeliści*, *Syn Boży* oraz właśnie *Wspaniałość moralna naszego Pana Jezusa Chrystusa jako człowieka*. Tę ostatnią pozycję napisał krótko przed swoim odejściem do Pana. Bellett był mężem pokoju, o którym można powiedzieć, że nic, co powiedział lub napisał, nie wzbudziło niezgody, lecz służyło jedynie temu, aby wzmocnić serca wierzących w bojaźni Bożej i było jednoznacznie ku czci Pana.

Cytaty z Pisma Świętego podane są według:
Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu.
Nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego opracowany
przez Komisję Przekładu Pisma Świętego.
Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1981.

Pismo Święte – największy skarb świata

*Te zaś są spisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystusem,
Synem Boga, i abyście wierząc mieli żywot w imieniu jego*

(Ewangelia Jana 20,31).

Czytaj codziennie Biblię
– Boże poselstwo dla Ciebie

Rozpowszechnianie Literatury Chrześcijańskiej

59-920 Bogatynia, ul. Kościuszki 60

63-520 Grabów n/Prosną, ul. Ostrowska 1

40-116 Katowice – Dąb, ul. Cicha 22

43-190 Mikołów, ul. Waryńskiego 42 a

43-180 Orzesze, ul. Bukowina 55

<http://www.chrzescijanin.strefa.pl>; e-mail: rlch@rlch.pl

WYKAZ SKRÓTÓW BIBLIJNYCH

STARY TESTAMENT

1 Księga Mojżeszowa
2 Księga Mojżeszowa
3 Księga Mojżeszowa
4 Księga Mojżeszowa
5 Księga Mojżeszowa
Księga Jozuego
Księga Sedziów
Księga Rut
1 Księga Samuela
2 Księga Samuela
1 Księga Królewska
2 Księga Królewska
1 Księga Kronik
2 Księga Kronik
Księga Ezdrasza
Księga Nehemiasza
Księga Estery
Księga Joba
Księga Psalmów
Przypowieści Salomonowe
Księga Kazn. Salomona
Pieśni nad Pieśniami
Księga Izajasza
Księga Jeremiasza
Treny
Księga Ezechiela
Księga Daniela
Księga Ozeasza
Księga Joela
Księga Amosa
Księga Abdiasza
Księga Jonasza
Księga Micheasza
Księga Nahuma
Księga Habakuka
Księga Sofoniasza
Księga Aggeusza
Księga Zachariasza
Księga Malachiasza

1 Mojż.
2 Mojż.
3 Mojż.
4 Mojż.
5 Mojż.
Joz.
Sędz.
Rut
1 Sam.
2 Sam.
1 Król.
2 Król.
1 Kron.
2 Kron.
Ezdr.
Neh.
Est.
Joba
Ps.
Przyp.
Kazn.
P.n.P.
Izaj.
Jer.
Treny
Ez.
Dan.
Oz.
Joela
Am.
Abd.
Jon.
Mich.
Nah.
Hab.
Sof.
Agg.
Zach.
Mal.

NOWY TESTAMENT

Ewangelia św. Mateusza Mat.
Ewangelia św. Marka Mar.
Ewangelia św. Łukasza Łuk.
Ewangelia św. Jana Jana
Dzieje Apostolskie Dz.Ap.
List św. Pawła do Rzymian Rzym.
1 List św. Pawła do Koryntian 1 Kor.
2 List św. Pawła do Koryntian 2 Kor.
List św. Pawła do Galacjan Gal.
List św. Pawła do Efezjan Efez.
List św. Pawła do Filipian Fil.
List św. Pawła do Kolosan Kol.
1 List św. Pawła do Tesaloniczan 1 Tes.
2 List św. Pawła do Tesaloniczan 2 Tes.
1 List św. Pawła do Tymoteusza 1 Tym.
2 List św. Pawła do Tymoteusza 2 Tym.
List św. Pawła do Tytusa Tyt.
List św. Pawła do Filemona Filem.
List do Hebrajczyków Hebr.
List św. Jakuba Jak.
1 List św. Piotra 1 Piotra
2 List św. Piotra 2 Piotra
1 List św. Jana 1 Jana
2 List św. Jana 2 Jana
3 List św. Jana 3 Jana
List św. Judy Judy
Objawienie św. Jana Obj.